NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 33 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 23 sierpnia 1913. Nr. 34.

Widmo głodu.

(Treść na str. 2).



Widmo głodu.

(Do illustracyi tytułowej).

Klęska po klęsce spada na i tak już wyniszczoną Galicyę. Grożące przez długi szereg miesięcy widmo wojny wywołało w kraju zastój i przesilenie ekonomiczne, rujnujące polski handel i przemysł. Jeszcze nie minęły te dotkliwe dla Galicyi następstwa zawieruchy bałkańskiej, gdy stoimy znowu wobec nowej klęski, zagrażającej najszerszym warstwom ludu... Tegoroczne lato, jakiego nie pamiętają najstarsi ludzie, a właściwie brak lata, zamiast którego mamy wciąż jesienną szarugę i nieustające deszcze, stał się katastrofą dla rolników. Czego nie zniszczyła powódź, to wygniło podczas ciągłych deszczów.

Wielkie gospodarstwa poniosły olbrzymie straty, a włościanie, którym pogniły w polu nawet ziemniaki, to główne pożywienie naszego ludu, znaleźli się wobec klęski głodowej!

Rolnicy z rozpaczą patrzą na swe zniszczone zagony i przepadłe plony, a scena, jaką widzimy na naszej tytułowej illustracyi, to smutny obraz polskiej wsi... Poprzez ulewy i deszcze polski włościanin widzi zbliżające się widmo głodu...



Echa wojny bałkańskiej: Zwłoki Turków, pomordowanych przez Bułgarów przed opuszczeniem Adryanopola.

Zjazd lekarski w Londynie.

Międzynarodowy Zjazd lekarski w Londynie, siedmnasty z rzędu, rozpoczął się w dniu 6 sierpnia b. r. Otworzył go imieniem króla książę Connaught.

Zjazd jest bardzo liczny, bierze w nim udział przeszło siedm tysięcy doktorów medycyny ze wszystkich stron świata, liczba towarzyszących im kobiet przenosi trzy tysiące.

Obrady toczą się w największej sali koncertowej, w Albert Hallu.

Nowością, dotychczas na zjazdach tego rodzaju niepraktykowaną, było utworzenie osobnego komitetu słowiańskiego.

W polskiej sekcyi zapisało się 49 lekarzy, ze spisu urzędowego wynika jednak, że jest ich około sześćdziesięciu, nie licząc pań.

Najsilniej reprezentowane jest Królestwo Polskie. Z samej Warszawy przybyło 31 lekarzy, z innych okolic 5, Poznań i zabór pruski reprezentuje trzech, cesarstwo rosyjskie trzech, zagranicę sześciu.

Londyn podejmuje bardzo gościnnie członków zjazdu.

Codziennie odbywają się posiedzenia ogólne i sekcyjne, na których roztrząsa się najaktualniejsze zagadnienia nowoczesnej medycyny, w międzyczasie zwiedzają uczestnicy osobliwości Londynu i robią wycieczki w okolicę.

W czasie obrad nadeszło zawiadomienie telegraficzne od dra Corneta z Berlina, iż udało mu się wynaleźć zarazka ospy.

Nie brakło też i momentów humorystycznych. Jednym z nich występ dra Nelsona Harvey, który, omawiając charakter epidemiczny chorób umysłowych, zaliczył do nich i... sufrażyzm!

Z prezydyum udzielono mowcy ostrzeżenia, aby kwestyi tej nie poruszał, należy ona bowiem do polityki i nic nie ma wspólnego z kongresem lekarskim.

Z Krakowa przybyli na Zjazd drowie: Wicherkiewicz, Kader i Kwaśnicki, ze Lwowa: Barącz, Łukasiewicz, Nowicki, Rencki i Zgórski, z Zakopanego dr. Kuczewski.

Ogólne zainteresowanie budzą grupy lekarzy chińskich i japońskich, którzy biorą udział w zjeździe w znacznej liczbie.

Ponieważ na poprzednim międzynarodowym kongresie budapeszteńskim uchwalono, że tylko państwa, a nie narody mają mieć oficyalne reprezentacye, dlatego też Polacy nie otrzymali własnej. Strzegąc naszych praw, radca dworu dr. Wicherkiewicz, jako przewodniczący polskiego komitetu lekarskiego, ogłosił protest w pismach angielskich. Zaznaczył, że ta decyzya jest jedyną w swoim rodzaju w historyi naukowych ciał międzynarodowych i krzywdzi dwudziestopięciomilionowy naród, który wprawdzie nie posiada samodzielności politycznej, ma jednak własną, niezniszczalną indywidualność i chlubi się z posiadania jednego z najstarszych uniwersytetów w Europie.

Jubileusz stanisławowskiego pułku piechoty.

W ubiegłym tygodniu obchodził 58 pułk piechoty, rekrutujący się z okolic Stanisławowa, jubileusz stopięćdziesiątego roku swego istnienia.

Uroczystości jubileuszowe rozpoczął w wigilię rocznicy capstrzyk. Na czele jechali cykliści wojskowi na ukwieconych rowerach, za nimi szli trębacze i dobosze, następnie pełna kapela pułkowa, żołnierze z lampionami, oddział, przybrany w charakterystyczne stroje historyczne, wreszcie niesiono świetlne obrazy, przedstawiające ważniejsze momenty z dziejów pułku.

Pochód zatrzymał się przed hotelem „Union“, gdzie mieszka przybyła na obchód generalicya, stąd udał się pod mieszkanie komendanta stanisławowskiej załogi, biskupstwo grecko-katolickie i ratusz.

W piątek rano, po pobudce, zebrali się przybyli



Zjazd lekarski w Londynie: Sala obrad Kongresu.

na uroczystość goście, korpus oficerski 58 pułku piechoty i deputacye w cerkwi katedralnej, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo, w którem wzięli udział także przedstawiciele miejscowych władz rządowych i autonomicznych z radcą dworu Prokopczycem na czele.

Po nabożeństwie ustawił się pułk na podwórzu kasarni. Po przeglądzie, dokonanym przez jeneralicyę z komendantem przemyskiej twierdzy, Collardem, na czele, przemówił pułkownik Konneschegg, kreśląc w krótkości historyę pułku i przedstawiając znaczenie jubileuszu.

Na zakończenie odbyła się defilada wobec generalicyi i zaproszonych gości.

W południe urządzono w sali restauracyjnej Haubenstocka bankiet na 170 nakryć dla oficerów pułku i zaproszonych gości, równocześnie zasiedli i żołnierze na podwórzu koszarowem do uczty jubileuszowej.

W uroczystości wzięło udział wiele ludności cywilnej, wśród oficerów rezerwowych pułku jest bowiem spora liczba Stanisławowian, ponadto korpus oficerski umiał z ludnością cywilną utrzymać przyjazne stosunki towarzyskie i harmonię.

Z pomiędzy jeneralicyi przybyli na obchód do Stanisławowa marszałkowie porucznicy: Collard, Gerhauser, Mattanowicz, jenerał-majorowie Zaleski i Kunesch. Ogólną uwagę zwracał jedyny żyjący uczestnik bitwy pod Sadową, były oficer tego pułku, podpułkownik Żółtyński ze Lwowa.



Echa wojny bałkańskiej: Turecki następca tronu dokonywa przeglądu wojsk w Adryanopolu.



Jubileusz stanisławowskiego pułku: Przegląd 58 pułku piechoty.



Jubileusz stanisławowskiego pułku: Powrót z cerkwi katedralnej do koszar.

Polityka na wakacyach.

Mężowie polityczni są to ludzie najbardziej chyba zajęci z pośród śmiertelników. Nawet wywczasy letnie i kuracyjne nie są dla nich okresem zupełnego wypoczynku. Przeciwnie, w letniskach i uzdrowiskach, do których zjeżdżają politycy, trwa nieustanna praca, wymiana myśli pomiędzy mężami, dzierżącymi losy krajów i narodów w swych dłoniach — czy to z nominacyi, czy to z zaufania współobywateli. Tam się też rozstrzygają najważniejsze nieraz sprawy polityczne i społeczne. Dla Galicyi takiem uprzywilejowanem politycznem uzdrowiskiem jest od lat już kilku Marienbad. Tam zjeżdżają na odpoczynek lub kuracyę wybitni polscy politycy i mężowie stanu i nieraz pomiędzy jedną a drugą szklanką wody mineralnej prowadzą „nieobowiązujące“ konferencye, które później decydują o układzie stosunków w kraju. W tym roku, oprócz kilku innych posłów i polityków polskich, bawili w Marienbadzie także namiestnik Galicyi eksc. Korytowski i prezes Koła polskiego i prezydent Krakowa dr. Leo, oraz przywódcy Rusinów galicyjskich. Z „nieobowiązujących“ konferencyj, jakie się toczyły między tymi mężami, nam. Korytowski teraz, w przejeździe z Marienbadu do Lwowa, zdawał we Wiedniu sprawę austryackiemu prezydentowi ministrów hr. Stürgkhowi. Z tego widać, jaką wagę miały te „nieobowiązujące“ polityczne pogadanki marienbadzkie. Rozstrzygnęły one zapewne o wielu sprawach, między niemi i najważniejszych, jak: stosunku wzajemnym polskich stronnictw do siebie, ugodzie polsko-ruskiej i sprawie reformy wyborczej sejmowej.



Polityka na wakacyach: Prezes Koła pol. dr. Leo i namiestnik Korytowski w Marienbadzie.

Podajemy podobizny konferujących ze sobą nam. Korytowskiego i prez. Lea.

Nowy gmach pocztowy w Tarnowie.

Tarnów pozyskał nowy wspaniały budynek użyteczności publicznej. Jest to gmach pocztowy, którego poświęcenie odbyło się właśnie w tych dniach, w obecności przedstawicieli wszystkich władz rządowych, wojskowych i autonomicznych.

Na uroczystości poświęcenia między innymi byli obecni: burmistrz dr. Tertil, prezydent sądu obwodowego dr. Kruczkiewicz, radca dworu dr. Jaroszyński, dyr. skarbu okr. radca Niwiński, dyr. elektrowni Studziński, dyr. banku austro-węg. dr. Mokrzycki, prokurator dr. Rasp, architekt miejski Zaremba, zast. dyr. poczt, inspektor poczt. Kowarzyk, pułkownik Dostal i w. i.



Zjazd lekarski w Londynie: Prezydyum Kongresu.



Nieproszony ofiarodawca: Pomnik bohatera norweskiego Frithjofa, ofiarowany Norwegii przez Wilhelma II.

Aktu poświęcenia dopełnił ks. prałat dr. Walczyński, poczem w ładnie udekorowanej sali dla listonoszów odbył się bankiet, podczas którego wygłoszono szereg pięknych przemówień. Między innymi wznieśli toasty naczelnik poczty dyr. Linde, dr. Tertil, inspektor poczt. Kowarzyk i i.

Nowy gmach, który wybudował architekt Corazza, przedstawia się bardzo okazale. Posiada wielkie, ładne, jasne pokoje, oświetlenie elektryczne, centralne ogrzewanie i wszelkie urządzenia, niezbędne zarówno dla wygody urzędników, jak i publiczności.



Nowy gmach pocztowy w Tarnowie: Przedstawiciele władz i goście na uroczystości poświęcenia nowego budynku. (Fot. Mroczkowski, Tarnów).







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

26

— Ta miłość taka dobra w poezyi, — powiedziała śpiewnie pani radczyni, — ale popatrz pani około siebie, tyle tu ludzi, i mądrych, inteligentnych, na stanowiskach, ta kto tu się tak kocha, jak mówi ten pan, pewno i sam tak nie kocha, tylko gada.

Ryta spojrzała badawczo na niego, i czekała niecierpliwie jego odpowiedzi, lecz on, zwracając się do pań, które go pytały, rzekł z chłodną uprzejmością:

— Zapewne panie mają słuszność, zły frazes zabija treść, albo też treść nie da się ująć słowami.

— A pani Jerzycka została u siebie? — spytała Ryta, gdy inne panie zajęły się rozmową.

— Panna Rawicka zmęczona podróżą i dla niej została pani Jerzycka. Dziwnie dobra z niej kobieta, przecież panna Rawicka obca dla niej, pierwszy raz ją widzi, a dzieli z nią pokój i troszczy się o nią, jak matka.

Ta gorąca pochwała pani Wandy była przykra dla Ryty, gdyż przyjęcie Rawickiej, poleconej jej opiece, uważała za rzecz naturalną, ale powiedziała z uznaniem:

— Wandzia jest istotnie dobra dla tej panienki.

— O, nie tylko dla niej, i dla pani ma dużo przyjaźni. Pani wie, jak często słucha różnych przycinków złośliwych, a jednak nic złego nie mówi o innych.

— Tak, to prawda.

Borowiecki spojrzał baczniej na twarz Ryty, dostrzegł zmianę. Około ust miała wyraz cierpienia, oczy podkrążone i spojrzenie niespokojne.

— Panno Ryto, miała pani jaką przykrość?

— Tak jest.... Na razie jest to tajemnica, zwłaszcza przed mamą; ojciec spadł z konia i złamał rękę, jutro wyjeżdżamy.

— Biedna pani! — rzekł ze szczerem współczuciem, — taka pani młodziutka, a życie coraz cięższe.

— To prawda, że ciężkie, — szepnęła głucho, a czując, że łzy napływają jej do oczu, odwróciła się.

W tej chwili pani Łącka wstała i powiedziała tonem suchym:

— Ryto, idziemy już!

Na drugi dzień, już przy śniadaniu, rozeszła się wieść wśród gości zakładu o nieszczęściu, jakie spotkało panie Łąckie. Wiadomość przyszła przez służbę przy sprawdzaniu rachunków numeru przez zarząd zakładu.

Jedni mówili o ciężkiej chorobie, inni o śmiertelnej, a byli tacy, którzy słyszeli o śmierci pana Łąckiego.

Takie niezwykłe wydarzenie poruszyło naturalnie wszystkich, a ci, którzy nie znali się osobiście z panią Łącką, zwracali się z pytaniami do pań i panów, z którymi ona była bliżej. Obydwie panie Łąckie stały się bohaterkami dnia i wszyscy z pewnem naprężeniem i ciekawością czekali zjawienia się tych pań do śniadania.

Nie przychodziły, a rozmowa się nie kleiła, jakkolwiek pani radczyni z miną tajemniczą powiedziała prawie szeptem do pani Poreckiej:

— Ta wie pani, co się stało? Ta poprostu skandal.

— Cóż takiego? — zaciekawiła się chwilowo.

— Ta tego adoratora Łotuskiej widziano dziś rano o piątej, już ubranego, jak schodził ze schodów.

— Co pani mówi? Czy być może? Pani sama widziała?

— Ta co znowu? Ja spała, tylko Amelka widziała go, a on zmieszał się strasznie i wprost poszedł do portyera, że niby idzie na wycieczkę. Także gadanie, — zaśmiała się, — wrócił i śpi, a przecież zawsze oboje przychodzili na śniadanie, a dziś, ani on, ani ona.

— Doigra się ona, — uśmiechnęła się pani Porecka, — rozniesie się to, dojdzie do doktora i wymówi im mieszkanie.

— Taż mówiłam, że to skandal, — westchnęła pani radczyni, — no, a co będzie z Łącką? Nie wie pani, jakie u niej interesa? Ja myślę, że nie bardzo, bo strasznie się oszczędzała.

— I ja myślę, że u nich nieszczególnie, ona ubierała się, aby się ubrać, a i Ryta bardzo skromnie.

— Ta może on się zastrzelił, albo otruł, bo jakże mógł spaść z konia człowiek, który zawsze jeździł.

— Wszystko możliwe, — westchnęła pani Porecka, — teraz takie ciężkie czasy, i aż mnie dziwi, że pani Jerzycka rzuca tak pieniędzmi na prawo i lewo.

— Ta wiadomo, że tak zawsze robią bankruci, nie szanuje się cudzy pieniądz, aby stroje byli, aby konie byli, i codzień wycieczki, cukiernie, zabawy, — uśmiechała się ironicznie.

— No, i flirty, nie z jednym, to z drugim, — dodała złośliwie pani Porecka, — wcalebym się nie dziwiła, gdyby znudziwszy się Borowieckim, usidliła Szarockiego, albo wróciła do Jedlińskiego, u takiej wszystko możliwe.

— Ta co tu gadać, — wzruszyła lekko ramionami, — tylko patrzeć, a tak i będzie, u niej to nie kupić. U nas, w Jarosławiu, nie zagrzałaby taka kobieta miejsca.

— No, przecież i my nie przyjaźnimy się z nią, — odparła z godnością pani Porecka, — znamy się, kłaniamy się z daleka, przemówimy kilka słów i koniec.

— Ta ja to widziała... Już chyba Łącka nie przyjdzie, ja idę werandować, a pani co?

— Madzia już tam jest, przyjdę za chwilę.

Pani radczyni wstała i wymachując rękami, jak żołnierz w marszu, co należy do szyku większości Galicyanek, poszła werandować na leżaku, umieszczonym w rodzaju szopy osłoniętej z otwartą ścianą od strony południowej.

Pani radczyni miała naturalnie swój wybrany leżak, swoje własne okrycie i swoje wybrane miejsce. Wtem ujrzała, że jej leżak jest odsunięty, a na miejscu tego stoi inny leżak, a na nim leży mężczyzna stary, pomarszczony, z policzkami zapadniętymi, okryty futrem mimo dwudziestu stopni ciepła w słońcu, a na łysej, świecącej czaszce widniały kropelki potu. Pani radczyni sponsowiała, takiego lekceważenia swej godności nie spodziewała się nigdy, z trudem dobyła chrapliwego głosu ze ściśniętego gardła i zawoła do służącego:

— Antoni! Gdzie mój leżak?

— Stoi, jaśnie pani.

— Ale gdzie? Czy to jest moje miejsce? Od czego ty tu jesteś?

— A co ja poradzę, jak sobie jaśnie pan sam przysunął leżak.

Chory, dotychczas milczący, zwrócił do niej swą wychudzoną twarz i rzekł z uśmiechem zgryźliwym:

— Czy pani dobrodziejka zaprenumerowała dla siebie słońce i powietrze?

— Bez tych poufałości, — obruszyła się, — nie zam pana.

— A, przepraszam, jeśli to salon, jestem Albin Mokijewski, otóż, czy pani posiada prawo monopolu na słońce i powietrze tutejsze?

Pani oniemiała z oburzenia. Ją, radczynię z Jarosławia, śmie ktoś w ten sposób traktować?! Z czerwonej zrobiła się blada.

— Wiedząc, że pani nie posiada monopolu, — ciągnął złośliwy starzec dalej, — ani też numerowanego miejsca, zająłem je, jako rzecz należącą do wszystkich chorych w zakładzie. I nie Antoni to zrobił, ale ja sam, Albin Mokijewski... sprawa skończona, — odwrócił się, ocierając pot chustką.

Radczyni przez chwilę szukała słów, nadających się do wyrażenia jej oburzenia i pogardy, wreszcie sarknęła:

— Impertynent — i odwróciła się.

— Nic nie szkodzi, ale ja tu zostanę, — zachichotał złośliwy starzec.

Naturalnie o werandowaniu nie było mowy i pani radczyni, wymachując rękami, może zbyt szybko, poszła ze skargą do doktora, który tę ważną sprawę umiał załagodzić.

Nareszcie odezwał się dzwonek oznajmiający rozpoczęcie obiadu.

Pani Łącka przyszła chmurna i posępna i usiadła na swem miejscu, skinąwszy innym głową na powitanie. Sąsiedzi, jako ludzie dobrze wychowani, ubrali swe twarze w dyskretny smutek i współczucie, wyczekujące chwili ujawnienia się w całej okazałości, ale pani Łącka milczała i milczała, chociaż było już i po zupie. Wobec wiadomej depeszy nie wypadało mówić o rzeczach obojętnych, rozmawiano też tylko półgłosem, wtem weszła pani Wanda z Dorcią i zbliżywszy się do pani Łąckiej, powiedziała ze współczuciem:

— Mówiono mi o nieszczęśliwym wypadku pana Łąckiego. Czy to prawda? — podała rękę na powitanie.

— Tak jest. Wyobraź sobie, nie dość, że złamał rękę, że cierpi i choruje, ale i mnie przeszkodził dokończyć kuracyi.

— I jakim sposobem to się stało? — usiadła przy Rycie, na miejscu Dorci.

— Skądże mogę wiedzieć? — odpowiedziała dość porywczo, — pewnie siadł na tę waryatkę... Ryto, jak się ta klacz nazywa? Wiesz, ta złotogniada?

— Bystra, mamo.

— Otóż to, albo siadł na Bystrą, a ona taka płochliwa, że byle czego się przestraszy i zaraz ponosi. Albo też siadł na Mira. Ten, jak go napadnie, leci bez pamięci, rów nie rów, płot nie płot.

— A może to było na polowaniu z chartami, o wypadek nie trudno.

— Co też wygadujesz!? — nachmurzyła się, — polowanie w kwietniu!?... Chociaż może objeżdżał siewki, albo dropie. Dość, że złamał rękę

i to prawą! A tyle razy mówiłam, prosiłam, nie jeźdź na szalonych koniach, masz już swe lata, ciężki jesteś, a on swoje, no i doigrał się. Wiesz, nawet linijkę mu kupiłam, bardzo wygodna, a ten nie! Jak tylko ja z domu, on ugania na koniach.

— Każdemu może się to zdarzyć, — odezwała się pani Porecka, — zwłaszcza, gdy się odwyknie od konia.

— Odwyknie!? — zawołała pani Łącka, oburzona, — mój mąż nigdy nie może odwyknąć, on szlachcic i gospodarz, od dziecka na koniu. Odwyknąć mogą tylko ludzie, którzy dopiero uczyli się jeździć konno, gdy zostali gospodarzami, — był to pocisk zjadliwy, gdyż pan Porecki, zanim kupił wieś, był dyrektorem fabryki.

Pani Porecka przygryzła usta i po chwili rzekła stanowczym głosem:

— Odwyknąć zawsze można, nie tylko od konia, ale i od form towarzyskich, jeśli się ich nie praktykuje.

— Kiedyż Ryto wyjeżdżacie? — spytała pani Wanda.

— Dzisiaj o piątej.

— A kiedy w domu będziecie?

— Jutro o dziesiątej wieczorem.

— O, to długa podróż, a nie możecie gdzieś w drodze odpocząć?

— Możnaby w Krakowie, — odpowiedziała pani Łącka, zamiast Ryty, — ale on biedny tak tam cierpi i pewno nas oczekuje, że pojedziemy bez odpoczynku.

— Jeśli zdrowie pani na to pozwoli, — wtrąciła pani Mniewska.

— Co tam moje zdrowie, gdy idzie o męża. Jest tam wprawdzie jego kuzynka na gospodarstwie domowem, ale ona nie zastąpi nas przy chorobie.

Pani Wanda tak przejęła się przykrością Ryty, że zwracała się niemal tylko do niej, starając jej usłużyć we wszystkiem przy stole.

— Tak współczuję z tobą i tak mi żal, że odjeżdżasz. Wprawdzie nie było ci tu rozkosznie, ale zawsze znośnie.

— To prawda, — powiedziała Ryta, — chociaż dzisiaj zupełnie mi to obojętne, czy jadę, czy zostaję.

— Dlaczego?

— Bo, wiesz, jak mówi Słowacki:

Wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.

— Moja kochana Ryto, ten twój pessymizm jest naprawdę nieuzasadniony. Jesteś młoda, piękna, inteligentna, całe życie przed tobą. Jestem pewna, że będziesz szczęśliwa, jak na to w zupełności zasługujesz.

— Wiesz Wandziu, nie mówmy o mnie, to w niczem nie zmieni mego losu. Wierzę w przeznaczenie. Jeden spotyka same kwiaty na swej drodze, a drugi ciernie i kamienie.

— Ach, Ryto, niema przeznaczenia, sam człowiek, jego usposobienie, temperament, siła, decydują o przyszłości.

Ryta uśmiechnęła się ironicznie i rzuciwszy okiem na Borowieckiego, który w milczeniu słuchał tej rozmowy, prowadzonej półgłosem, powiedziała:

— Tylko człowiek szczęśliwy, któremu wiedzie się w życiu, jest na tyle zarozumiały, że sądzi, iż przyszłość od niego zależy; ale, gdy przyjdą niezasłużone cierpienia, smutki, rozczarowania, nie wini siebie, tylko przeznaczenie.

— Ma pani słuszność, — odezwał się Borowiecki, — o ile idzie o ludzi wiotkich, podatnych, ulegających chwilowym nastrojom i wrażeniom. Silny i trzeźwy umysł zdaje sobie sprawę z każdego kroku i sam kieruje tak zwanem przeznaczeniem.

— A co, Ryto! — rzekła Wanda, — i pan jest mego zdania.

— Widzę tę zgodność, — odpowiedziała z lekkim sarkazmem, — ale to w niczem nie zmienia mego zapatrywania, bo i jak trzeźwy i silny umysł obliczy, że, dajmy na to, ja, zupełnie niespodzianie, poznaję pana, pan bez żadnego przewidywania poznaje Wandzię, i nagle, co jest możliwe, zanim wstaniemy od stołu, wiatr halny przewala dach i giniemy zgnieceni. Żaden z tych trzech wypadków obliczyć się nie da, bo takie było przeznaczenie.

Pani Wanda spostrzegła, że wszystkie cytowane wypadki koncentrują się około osoby Borowieckiego i bardzo ją zasmuciło cierpienie Ryty, ale rozumiała też dobrze, że na to nic poradzić nie może. Borowiecki nigdy nie zdradził głębszego zainteresowania się Rytą i wydało się jej bezcelowem mówić z nim o niej.

— Może masz Ryto słuszność, — westchnęła.

— Ja zaś miałem na myśli zwykłe, normalne stosunki, wśród których żyjemy, — rzekł Borowiecki, — a co innego żywiołowe, nieopanowane siły, te naturalnie drwią z naszych obliczeń; i jeśli działanie ich ślepe nazwiemy przeznaczeniem, w takim razie ono istnieje.

— Widzę, — uśmiechnęła się Ryta z pewnym przymusem, — że i pan należy, podobnie jak Wandzia, do ludzi szczęśliwych.

Wstano od obiadu. Panie Łąckie poszły przygotowywać się do podróży, a pani Mniewska spytała głośno pani Łotuskiej:



— Panie Łąckie mogły być zadowolone z owacyjnego pożegnania.

— Czy odprowadza pani na kolej panie Łąckie?

— Ja? — spojrzała przelotnie na Szarockiego i mówiła z wahaniem: — wprawdzie projektowała się wycieczka...

— No, tak, — przerwał jej pan Szarocki, — ale wobec odjazdu znajomych pań, zdaje mi się, że możemy ją odłożyć.

— Oczywiście, — zawołała pani Łotuska, — musimy odprowadzić, to niemal obowiązek; a pani pójdzie z nami? — zwróciła się do pani Poreckiej.

— Idziemy, mamusiu, to wypada, — odezwała się Madzia.

— Czyż mówiłam, że nie pójdę, — powiedziała z godnością, — sądzę, że i panowie będą.

— Stawię się na dworcu, — skłonił się pan Jedliński.

Panie Łąckie mogły być zadowolone z owacyjnego pożegnania. Przyszły panie znajome, a panowie z bukietami i cukrami. Ryta w ładnym kostyumie podróżnym robiła bardzo korzystne wrażenie, ale mimo usiłowań, nie mogła pozbyć się smutku, a jej piękne oczy częściej błądziły po górach i wirchach, oblanych słońcem, aniżeli po twarzach odprowadzającego towarzystwa.

Pani Wanda, patrząc na nią, poczuła nagle ciche wyrzuty sumienia, że gdyby nie ona, może byłby Borowiecki pokochał Rytę. Zbliżyła się do niej i powiedziała tonem serdecznej prośby:

— Ryto, nie wspominaj źle o mnie.

— Dobrze, Wandziu, mam ci zresztą do zawdzięczenia wiele chwil miłych i dobrych.

Zbliżyli się inni i zaczęła się ta zawsze banalna i nudna rozmowa pożegnalna ze sztucznym sentymentem, z obietnicami, rzucanemi na wiatr, byle minął czas do odejścia pociągu.

Pani Łotuska z Szarockim stali opodal, a Szarocki, patrząc na nią, szepnął:

— Dlaczegoś taka smutna? Czy zazdrościsz im wyjazdu? — uśmiechnął się.

— Żartujesz, — odszepnęła, — a ja naprawdę czuję dziwną obawę przed koleją.

— Czego się lękasz? Zostajemy tu przecież.

— Ale on może przyjechać.

— Pisał ci, że interesa zagmatwane i dopiero w czerwcu będzie wolny.

— No, tak, ale mam złe przeczucia.

— Głupstwo, — zaśmiał się, — o, widzisz, jak Borowiecki je żegna?

Borowiecki przyniósł skromny bukiet z kilku róż i konwalii i podał Rycie, która go wzięła, mówiąc z uśmiechem:

— Bez słów?

— Przeciwnie, panno Ryto. Pani zacytowała w rozmowie Słowackiego, pójdę za przykładem pani.

— I co?

— „Dwie są melancholie, jedna z mocy, druga ze słabości. Pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich; druga kamieniem ludzi topiących się".

— Dziękuję panu, — zarumieniona, uścisnęła podaną rękę.

XIV.

Po wyjeździe pań Łąckich, spodziewała się Dorcia, że będzie mogła znaleźć w zakładzie pokój oddzielny, ale zawiodły ją nadzieje. Wprawdzie pokój Łąckich był wolny, ale przeznaczony dla dwóch osób, okazał się zbyt drogim i rozczarowana Dorcia wróciła do pani Wandy, mówiąc:

— Byłam w kancelaryi zarządu.

— A czego? — podniosła pani Wanda oczy z czytanej książki.

— Żądałam pokoju, ale znów niema wolnego, a ten po pannie Rycie jest za drogi. Dziś wyprowadzam się do hotelu, nie mogę nadużywać dobroci pani.

— Skądże to nagłe postanowienie? — uśmiechnęła się pani Wanda, — czy pani tak bardzo źle ze mną?

— Ależ nie, bardzo dobrze... ale ja pani przeszkadzam, nie ma pani chwili swobodnej, może i w nocy śpię niespokojnie.

— Nie przeszkadza mi pani wcale, a śpi pani, jak dziecko zmęczone zabawą; proszę, zostań pani, naprawdę przyjemnie mi z panią.

— Pani mówi tak przez wrodzoną dobroć, a naprawdę zdaje mi się, że pani mnie nie lubi.

— A z czego pani to wnosi?

— Wszyscy, których kocham i lubię, mówią mi „ty", a pani, chociaż prosiłam, zawsze tytułuje mnie panią.

— A, jeśli tylko o to idzie, — zaśmiała się, — będę mówiła „ty", ale i ten warunek, że będziesz mi mówiła tak samo „ty".

— Ja? Nigdy! Pani przecież mężatka, starsza odemnie, musiałabym albo przestać rozmawiać, albo wyszukiwać zwrotów, ażeby uniknąć słówka „ty". Najlepiej będzie, a dla mnie najmilej, pani mówi mi „Dorciu", a ja „pani".

— Ha, jeśli chcesz koniecznie, będę ci mówiła ty, zgoda Dorciu? — wyciągnęła rękę.

— Naturalnie, — zaśmiała się, — a swoją drogą wyprowadzę się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Studencka wycieczka na Wschód.

Pod przewodnictwem znanego pedagoga i wychowawcy młodzieży, dra Ludwika Bykowskiego, odbyło grono uczniów gimnazyum VIII we Lwowie czterotygodniową wycieczkę na Wschód.

Uczestnicy wycieczki, których fotografię podajemy w dzisiejszym numerze, zwiedzili okolice Pińska, później przeszedłszy piechotą ziemię Nowogrodzką, pełną pamiątek po Mickiewiczu, zatrzymali się w Wilnie, przyjmowani serdecznie przez tamtejszą Polonię, stamtąd pojechali do Moskwy, gdzie zwiedzili Kreml i muzea, by po trzech dniach pobytu pojechać do Kijowa. W Kijowie obejrzeli wystawę, słynną Ławrę peczerską i statkiem po Dnieprze popłynęli aż do Ekaterynosławia. Z Ekaterynosławia, po zwiedzeniu porohów dnieprowych, udali się na Krym, który zwiedzili częściowo statkiem, częściowo wózkiem, zatrzymując się w Symferopolu, Jałcie i Sebastopolu. Z Sebastopola popłynęli znów okrętem do Odessy, skąd przez Podwołoczyska wrócili koleją do Lwowa, zachwyceni mnóstwem doznanych wrażeń.

Należy tu podnieść z uznaniem zasługi niestrudzonego prof. Bykowskiego, który co rok w czasie wakacyi organizuje takie kształcące wycieczki, umożliwiając młodzieży poznania kraju, świata i ludzi.



Studencka wycieczka na Wschód: Grono uczestników wycieczki z prof. Bykowskim w pośrodku.



Echa wojny bałkańskiej: Bułgarski jacht królewski, zatopiony w Dunaju pod Ruszczukiem. (Fot. kap. J. Eilingsfeld).

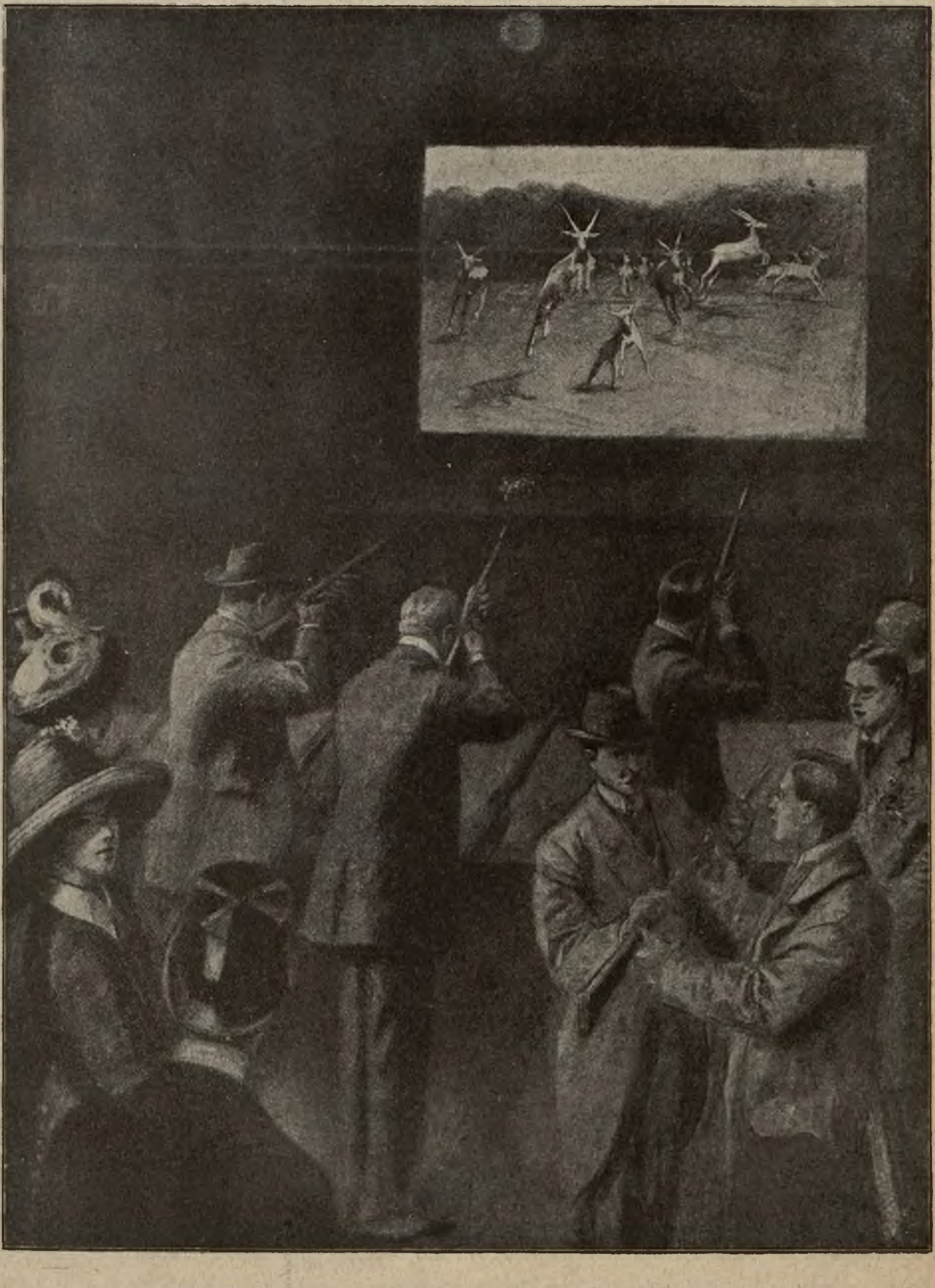


Polska placówka na kresach: Nowy kościół w Germakówce, w powiecie borszczowskim.

Polska placówka na kresach.

Kresy dawnej Rzeczypospolitej polskiej zasiane były przed wiekami wielką ilością zameczków obronnych, które były ostoją i ochroną przed zewnętrznym i wewnętrznym wrogiem. Z nich to Polacy bronili ojczyzny i wiary, a w murach zamków kresowych krzepił się duch polski i hartował się zapał do poświęceń i do pracy narodowej. Ale następne wieki zmieniły wiele, zameczki obronne rozpadły się w gruzy, a polska ludność kresowa poczęła tonąć w obcem morzu. I oto dla jej obrony poczęli ludzie dobrej woli budować twierdze nowe — ale nie są to owe dawne zamki z obronnemi basztami i strzelnicami, lecz nową ich postacią są kresowe kościółki polskie. W nich to rozbrzmiewa słowo polskie, one jednoczą wszystkie polskie warstwy społeczne, tu krzepi się poczucie narodowe i wzmaga świadomość polską.

Jedną z takich placówek jest kościółek germakowiecki. Germakówka w powiecie borszczowskim we wschodniej Galicyi, była niegdyś własnością biskupów kamienieckich, którzy tu i w okolicy osadzili liczne rodziny polskie, obecnie zaś jest własnością hr. Baworowskich. Ludności polskiej groziło zrutenizowanie, jednakże zbudowanie kościoła pol-



Bezkrwawe polowanie: Strzelanie do zwierzyny na obrazie kinematograficznym.





Echa wojny bałkańskiej:

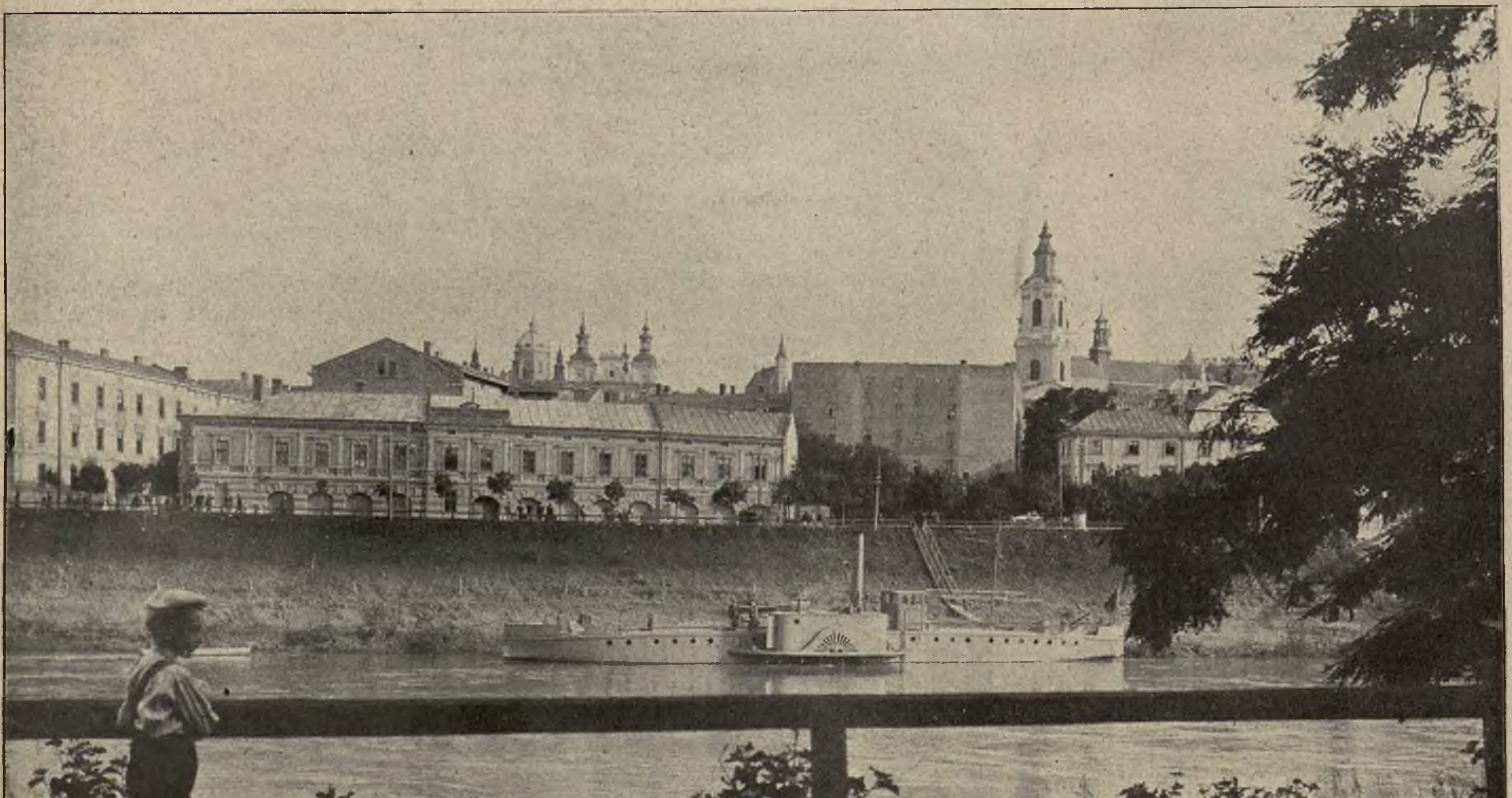
Szef armii rumuńskiej, następca tronu ks. Ferdynand (X) z synem ks. Karolem na moście szerokim 1.247 metrów, a zbudowanym przez wojsko w ciągu siedmiu godzin.

Król Konstanty i grecki prezydent ministrów Venizelos podpisują warunki zawarcia pokoju z Bułgaryą.

skiego zapobiegło niebezpieczeństwu. Hojnością Michała hr. Baworowskiego, zapisem nieodżałowanej pamięci ks. Stasickiego, dużym nakładem znojnej pracy obecnego proboszcza krzywieckiego ks. Dziurzyńskiego i przyczynieniem się germakowieckich Polaków stanął w Germakówce kościół murowany, który co niedziela i święto gromadzi polskie serca do wspólnej modlitwy i stanie się niewątpliwie nową placówką polskości na kresach.

Bezkrwawe polowanie.

W obecnych czasach elektryczności, aeroplanów, kinematografów i t. p. najfantastyczniejsze fantazye stają się rzeczywistością. Wynalazki te znalazły



Klęska powodzi w Galicyi: Pierwszy statek parowy w Przemyślu, wiozący komisyę, która bada szkody, wyrządzone przez wylew Sanu.

również zastosowanie i w dziedzinie polowania. Myśliwy, nie opuszczając murów miasta, może polować w dzikiej puszczy na najdrapieżniejsze zwierzęta, nie robiąc im bynajmniej żadnej szkody i sam nie narażając się na niebezpieczeństwo. Takie bezkrwawe polowanie wprowadzono już w Anglii, w sposób bardzo prosty i łatwy, bo za pomocą kinematografu. Na ekranie harcuje swobodnie zwierzyna, nieprzeczuwająca bynajmniej żadnego niebezpieczeństwa, a myśliwi strzelają do tych ruchomych obrazów. Z takiego polowania obie strony mogą być zadowolone: i myśliwi, którzy mogą się popisywać celnymi strzałami, i zwierzyna, która służąc za cel w kinematografie, kryje się jednak bezpiecznie w lasach.

Jest jedna tylko zła strona takiego polowania, mianowicie fakt, że z upolowanej w ten sposób zwierzyny trudno zrobić... pieczeń. Ale nic niema doskonałego na świecie, więc ma też swe ujemne strony i to bezkrwawe polowanie w kinematografie, które przedstawia nasza illustracya.

Klęska powodzi w Galicyi.

Przemyśl żyje jeszcze pod wrażeniem ostatniej powodzi. W mieście samem o jakiejś akcyi ratunkowej nic nie słychać, inaczej natomiast dzieje się w powiecie, gdzie starostwo, Rada powiatowa i Towarzystwo gospodarskie, każde w swym zakresie, robią co mogą, by tylko dotkniętym powodzią przyjść z pomocą.

Starostwo przeprowadza sumienną ocenę szkód, po których ustaleniu projektowane jest przedewszystkiem rozpoczęcie naprawy zniszczonych dróg i mostów. Gminy otrzymają subwencyę na wykonanie potrzebnych robót.



Klęska powodzi w Galicyi: Komisya, badająca szkody wyrządzone przez powódź, na statku „Kopernik" w Przemyślu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

W wypadkach godnych uwzględnienia, o ile starczą fundusze, udzielonoby pożyczek bezprocentowych i pomocy *in natura* na zasiewy, tak jesienne, jak i na wiosnę.

Komisya, mająca za zadanie naoczne zbadanie szkód, wyrządzonych powodzią, składająca się z radcy namiestnictwa Żeleskiego, marszałka powiatowego, ks. Sapiehy, posła Czajkowskiego, kierownika regulacyi Sanu, inż. Pruszyńskiego i inż. Eustachiewicza, podróże swe odbywała na parostatku „Kopernik", należącym do kierownictwa regulacyi Sanu.

Wybrano ten środek lokomocyi głównie z tego powodu, ponieważ mosty w powiecie prawie wszystkie są zerwane, a drogi poważnie uszkodzone.

Przybycie parostatku do Przemyśla wywołało niebywałą sensacyę, był to bowiem pierwszy parowiec, który tamże zagościł. Tłumy ludzi podążyły na brzeg Sanu, nie brakło nawet naiwnych, którzy utrzymywali, że to jest pancernik, czy torpedowiec, mający odegrać ważną rolę w razie ewentualnej wojny.





Echa wojny bałkańskiej: (Fot. kap. J. Eilingsfeld).
Bułgarski statek wojenny „Aleksander", zatopiony w porcie ruszczuckim. Bułgarski statek wojenny „Symeon Wielki", zatopiony pod Ruszczukiem.

Europejscy koczownicy.

Któż nie zna Cyganów?... Brudni, obdarci, a jednak przykuwający wzrok swoją piękną, wschodnią urodą, zjawiają się niespodzianie we wszystkich zakątkach naszego kraju i tak samo niespodzianie znikają.

Nie licząc Kałmuków i Kirgizów, zamieszkujących stepy w dolnym biegu Wołgi, jest to jeden jedyny szczep, który do dziś dnia prowadzi życie koczownicze w Europie. Jest on znany dobrze we wszystkich krajach, gdzie grupy Cyganów błądzą od miasta do miasta, od wsi do wsi, rozbijając na polach swe namioty.

Ogólna liczba Cygaów, koczujących po Europie, nie przekracza pół miliona, najwięcej ich jednak przebywa w Turcyi i Rumunii (około 200.000), w Austro-Węgrzech (100.000), w Hiszpanii i Rosyi.



Europejscy koczownicy: Obóz Cyganów aresztowanych w Ungwarze na Węgrzech pod zarzutem szpiegostwa.

Pomimo, iż pochodzenie Cyganów sięga zamierzchłych czasów, zachowali oni swój język i obyczaje, nie mogąc przystosować się do warunków współczesnego, osiadłego życia. Zajęcie ich jest też



Kursy zawodowe: Uczestnicy majsterskiego kursu tapicerów we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

bardzo nieokreślone i często kolidujące z kodeksem karnym. Zajmują się oni nie tylko żebraniną i wróżbiarstwem, ale także kradzieżami.

Cyganie nie pozostali jednak zupełnie obcy stosunkom współczesnego życia. Wędrując od kraju do kraju, zdobywają nieraz informacye pożyteczne dla celów wojskowych, które naturalnie starają się należycie spieniężyć. To też władze mają zawsze baczne oko na wędrujące obozy Cyganów, którzy często zajmują się szpiegostwem. Pod zarzutem tego przestępstwa aresztowano niedawno grupę Cyganów w Ungwarze na Węgrzech. Ich malowniczy obóz przedstawia właśnie zamieszczona illustracya.

Katastrofy aeroplanowe.

Lotnictwo rozwija się z każdym dniem coraz pomyślniej, wynalazki w tym kierunku mnożą się



Katastrofy aeroplanowe: Płonące szczątki aeroplanu Broksa, który spadł w czasie egzaminu lotniczego.

z dnia na dzień, niestety jednak wraz z nimi i nieszczęśliwe wypadki.

I znów lista ofiar powiększyła się o dwa nazwiska, jedno z nich znane nawet na obu półkulach.

Amerykanin, pułkownik Cody, krewniak słynnego Buffalo-Billa, który przed kilku laty wraz z swym cyrkiem odbył *tournée* po Europie i mimochodem zawadził i o Galicyę, wyrobił sobie w Anglii i za jej granicami markę znakomitego awiatora i konstruktora maszyn do latania.

Przeżywszy burzliwą przeszłość, osiadł w Anglii, tutaj się znaturalizował i z całem zamiłowaniem poświęcił się lotnictwu, oddając na tem polu swej nowej ojczyźnie ogromne przysługi. Lotnictwo w Anglii jest dotąd bardzo słabo rozwinięte, jeden jedyny pułkownik Cody zdobył na tem polu rycerskie ostrogi i światowe znaczenie.

W ubiegłym tygodniu popisywał się śmiały lotnik na swym hydroaeroplanie najnowszej konstrukcyi, odznaczającej się ogromnymi rozmiarami, spadł jednak ze znacznej wysokości i zabił się na miejscu.

Drugi wypadek zdarzył się w Johannisthalu, w czasie egzaminu ucznia lotniczego Broksa. Wzniósł on się na aeroplanie, bujał jednak w powietrzu tak nizko, iż zawadził o szczyt wieży. Statek stanął w płomieniach i spadł na ziemię, a silnie poparzonego



Katastrofy aeroplanowe: Pułkownik Cody na swym hydroaeroplanie.

Broksa wydobył z nadludzkiem poświęceniem lotnik Matthig z pośród płonących szczątków.

Odniósł jednak tak ciężkie rany, iż mimo natychmiastowej pomocy zmarł już dnia następnego.

Aparat spalił się zupełnie.



Miasto przyszłości: Przekrój ulicy z „drapaczami nieba".

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

7

W pierwszej chwili lekarz uczuł pewne uspokojenie, zaraz jednak myśl, że baron wykorzystując chorobę dziecka, mógłby swój cel osiągnąć, wzburzyła go. Jednak i ta myśl ustąpiła zaraz nagle budzącej się świadomości: jest przy dziecku, ma przy sobie truciznę. Kto wie, jeśli dziecko będzie bardzo cierpieć, czy nie użyje tych strasznych kropli, których niebezpieczeństwa może nie zna. Przerażony tą myślą, zapytał zaraz, czy chłopak już powraca do zdrowia.

Stara kobieta nie wiedziała dokładnie. Przed dwoma dniami było trochę lepiej, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

— Proszę bardzo, niech pani wskaże mi adres baronowej. Muszę z nią mówić, choćby tylko jedną minutę!

Otrzymał adres i popędził, jakby go furye gnały, na wskazaną ulicę. Zaledwie zwrócił uwagę na wspaniałość willi, w której baron Wolfern przejadał dochody majątku swego pupila. Podszedł prawie bez tchu do bramy wchodowej i zadzwonił.

W szybkich, urywanych słowach wyjaśnił jawiącemu się w wspaniałej liberyi służącemu cel swego przybycia.

— Przepraszam bardzo, ale pani baronowej już tu niema, — brzmiała odpowiedź, dana w bardzo dziwnym tonie.

— Niema jej, to chyba niedawno wyszła?

— Przed godziną.

— Czy powróciła do swojego mieszkania?

Służący wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

Jakiś dziwny ton, stereotypowość odpowiedzi służącego, uderzyła lekarza dosyć nieprzyjemnie.

— A dziecko — czy już zdrowsze? — badał dalej niespokojnie.

Służący zmierzył go spojrzeniem, które bardzo wyraźnie mówiło, że to go chyba nic nie obchodzi. Może nie wiedział, jak dalece może być szczerym wobec człowieka obcego, aby nie stać się niedyskretnym wobec swoich chlebodawców. Robert zrozumiał tak to wahanie, wydobył bilet wizytowy i podał służącemu.

— Jestem lekarzem i przyjacielem pani baronowej, — dodał, zachęcając do mówienia.

Lokaj skłonił się lekko, okazując uprzejmość dobrze wyszkolonego służącego.

— Dziecko umarło, — odpowiedział po chwili wahania na pytanie.

— Umarło? A kiedy zmarło?

— Wczoraj w nocy.

W spojrzeniu lokaja było jeszcze coś więcej, aniżeli ta odpowiedź.

— Czy się coś stało? — nalegał doktor, pełen obaw. — Czy pani baronowa także zachorowała?

Coś musiało się stać, coś niezwykłego, bo dowodziło tego jasno zachowanie się lokaja, który widocznie nie chciał kompromitować ani siebie, ani też swoich państwa. Niezdecydowany stał chwilę, wreszcie zapytał się, czy pan doktór nie zechciałby się widzieć z samym panem baronem.

— Nie wiem jednak, czy pan baron obecnie przyjmie wizytę, — dodał do swego zapytania.

Robert był już przekonany o bezcelowości swych usiłowań, nie miał także wielkiej ochoty widzieć się z baronem, to też właśnie zamierzał cofnąć się, usprawiedliwszy się w kilku słowach, kiedy z głębi pałacu nadszedł szybko jakiś starszy pan. Robert, ku swej wielkiej radości, poznał w nim prof. Sturma, znanego mu dobrze lekarza i profesora uniwersytetu. Bez wahania przystąpił do niego i pozdrowił go. Od tego mógł się z pewnością coś dowiedzieć, jego obecność tu stała zapewne w związku ze śmiercią dziecka. Był on bowiem znaną powagą i sądowym rzeczoznawcą w sprawach poważniejszych.

— Czy mogę pana prosić o małe wyjaśnienie, panie profesorze? — powitał go według utartego zwyczaju.

— Chętnie bym się z panem zatrzymał, panie kolego, ale spieszy mi się bardzo. Muszę natychmiast udać się do sędziego śledczego, — chodzi o wydanie orzeczenia znawcy.

— Tylko kilka słów — czy mogę panu towarzyszyć kawałek drogi?

Na to profesor chętnie się zgodził.

— Jestem przyjacielem baronowej Wolfern — objaśnił młody lekarz, idąc obok profesora. — Właśnie dowiedziałem się, że syn jej nagle umarł. Co było małemu, panie profesorze?

Prof. Sturm zakaszlał, zanim odpowiedział.

— Dziecko miało szkarlatynę, panie kolego.

— I wskutek tego zmarło? — zawołał Robert radośnie.

— Nie, nie wskutek tego. Było już prawie zdrowe. Ostatecznie, panie kolego, wiem, z kim mówię, zresztą cała sprawa będzie już dzisiaj w gazetach. Zaszedł wypadek otrucia.

— O Boże! — jęknął nieszczęśliwy doktór Burger. — Może był to tylko przypadek? — starał się zyskać jeszcze słabą nadzieję.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie. Przynajmniej do tej chwili istnieje silne podejrzenie, że ktoś dał dziecku truciznę rozmyślnie.

— Jaką truciznę?

— Morfinę. Jeśli pan jest przyjacielem baronowej — dodał profesor po cichu, — to wiadomość, którą panu zakomunikuję, boleśnie pana dotknie. Baronową przed godziną aresztowano pod zarzutem zamordowania własnego dziecka.

— Za późno, — mruknął Robert i na chwilę pociemniało mu w oczach, — za późno!

ROZDZIAŁ X.

Prof. Sturm zdumiał się wrażeniem, jakie wywołały jego słowa.

— Pan... bardzo głęboko odczuł całą sprawę, kolego.

— Jak już panu powiedziałem, — oświadczył Burger, opanowując się całym wysiłkiem woli, — jestem przyjacielem tej nieszczęśliwej kobiety. Znam całą jej smutną przeszłość, szanuję ją i współczuję głęboko.

— Przypuszczam, że chodzi tu o jakąś tragedyę familijną — odpowiedział Sturm poważnie. — Ostatecznie nie wiem, czy wina tej pani jest już w zupełności stwierdzona. Ja stwierdziłem tylko, że zaszedł wypadek otrucia.

— Dziękuję panu, profesorze.

Robert chciał go pożegnać, ale profesor wstrzymał go jeszcze.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan zechciał opowiedzieć mi cośkolwiek o stosunkach rodzinnych Wolfernów. Może niejedno będzie miało dla mnie znaczenie przy składaniu mego orzeczenia.

Mimo, iż Burger zupełnie nie był w tej chwili do tego usposobiony, uznał za wskazane, aby profesorowi chociaż bardzo pobieżnie opowiedzieć historyę rodu Wolfernów. W opowiadaniu swem pominął wiele szczegółów, podając tylko fakty najważniejsze. Serce jego było przepełnione chęcią natychmiastowego czynu.

— W takim razie należy biednej kobiety istotnie żałować, — zakonkludował profesor, wysłuchawszy opowiadania. — Dziecko miało przed sobą nędzne, bezwartościowe życie.

— Jak powstało podejrzenie, które skierowało się przeciw nieszczęśliwej matce?

— O tem nie wiele mogę panu powiedzieć. Z baronem nie mogłem się widzieć, a od gospodyni i od służby nie wiele mogłem się dowiedzieć, prawdopodobnie dlatego, że sami nie wiele wiedzą. Słyszałem tylko, że znaleziono przy niej flaszeczkę morfiny.

Na rogu ulicy pożegnali się. Robert zawołał przejeżdżającą dorożkę i kazał się wieźć do dr. Ammarella, który, jak wiedział, od kilku dni bawił w Berlinie. Z nim, jako z adwokatem, chciał się naradzić wobec tej zawikłanej sprawy. Ammarel miał wobec baronowej niespłacony dług wdzięczności, powinien się był więc zająć jej sprawą. Jeśli była istotnie winną, — a można było tu mówić o rozpaczliwym czynie doprowadzonej do ostateczności matki, — to powinien w jej obronie stanąć obrońca, któryby wszelkich usiłowań dołożył, aby jej sprawę ratować.

Robert utrzymywał znajomość z dr. Ammarellem, nawiązaną na pokładzie „Królowej Ludwiki". Odwiedzali się nawet wzajemnie kilkakrotnie. Przy bliższem poznaniu nabrał Robert przekonania, że dr. Ammarell jest jednym z najtęższych znanych mu prawników, posiadał bowiem doskonały dar wymowy, bystrość obserwacyi i uczciwość. Nadto miał nadzieję, że przez niego, a właściwie przy pomocy jego stosunków w sądzie, dowie się dokładniej o właściwym stanie rzeczy.

Jak zwykle w takich wypadkach, nie zastał adwokata w domu.

— Właśnie wyszedł — objaśniał jego zastępca. — Wezwano go telefonicznie na konferencyę.

— Zdaje mi się, że według przyjętego zwyczaju klient przychodzi do adwokata, a nie odwrotnie.

Młody koncypient, widocznie za mało obserwujący, aby dostrzedz usposobienie gościa, z którym rozmawiał, zauważył naiwnie:

— W tym wypadku to odwrócenie porządku miało swoje uzasadnienie, panie doktorze.

— Jakież naprzykład?

— Szukający porady, — a właściwie szukająca porady — nie może tutaj przyjść, siedzi bowiem w więzieniu.

— Przecież chyba... nie... baronowa... — Robert nie mógł wymówić nazwiska.

— Jeśli pan myśli o baronowej Wolfern, to właśnie o nią chodzi.

— Ona sama go wezwała?

— Tak jest, panie doktorze.

— A więc sama, — rozważał Burger z zadowoleniem.

— Czy spodziewacie się wnet powrotu waszego szefa?

— Prawdopodobnie wróci niebawem na obiad. W każdym razie o trzeciej z pewnością będzie w domu.

Robert zrozumiał wskazówkę. Minęła już pierwsza, zarówno koncypient jak i pisarze chcieli również pójść zaspokoić wezwania żołądka. Lekarz zdecydował się więc, aby zjeść obiad w niedaleko położonej restauracyi, gdyż nie chciał wracać do domu. O trzeciej miał zamiar ponownie się zgłosić.

Jadł mało, a i to bez apetytu; z niecierpliwością wyczekiwał naznaczonej godziny. W istocie przyszedł za wcześnie i musiał prawie kwadrans spacerować przed biurem, zanim nadszedł pierwszy z pisarzy. Adwokat jeszcze nie wrócił, ponieważ jednak rozpoczynały się jego godziny przyjęć, a dotychczas nie dał znać telefonicznie, iż na czas nie przybędzie, spodziewano się w kancelaryi, iż lada chwila nadjedzie.

Wreszcie przybył spocony i bardzo wzburzony. Na widok przyjaciela zaświeciły mu oczy.

— Pan tutaj, doktorze — a ja byłem u pana w zakładzie.

— Pan był u mnie? Prawdopodobnie chodzi o tę samą sprawę?!

— A więc pan wie już? wszystko?

— Wszystko — to znaczy tylko fakty, szczegółów spodziewam się od pana. Czyżby to było istotnie prawdą? Nieszczęśliwa popełniła...

Dr. Ammarell skinął głową.

— I niema żadnych wątpliwości co do jej winy.

— Żadnych.

— Pan z nią rozmawiał. Jakżeż ona usprawiedliwia ten straszny czyn?

— Wcale go nie usprawiedliwia, — ona zaprzecza wszelkiej winie.

Robert otworzył szeroko zdumione oczy.

— A więc tak? — zawołał uradowany. — O! wtedy z pewnością jest niewinną.

Adwokat potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Już teraz nagromadziło się dosyć przciw niej dowodów, tyle, że wystarczy, aby ją skazano. Każdy sąd przysięgłych, jak sądzę, potwierdziłby jej winę. Nie, nie, nie mam żadnej nadziei. Chciała się ze mną widzieć i powierzyła mi swą obronę. Wtedy dałem jej dobrą radę, aby otwarcie do wszystkiego się przyznała. Jest to pierwsza przesłanka, na której oprzeć się może łagodna kara, a więcej obrona w tym procesie nie osiągnie.

— Jakto? Pan nie będzie mówił za jej uwolnieniem?

— Proszę mnie dobrze zrozumieć, — ma się rozumieć, że będę. Ale to stanie się raczej dla formy.

— Jakżeż pan znalazł biedną kobietę.

— Więcej spokojną, niż się spodziewałem. Była bardziej zdumiona niespodzianie spadłymi na nią wypadkami, niż nimi złamana. Może była tak bardzo podniecona. Była nawet oburzona, kiedy nie chciałem wierzyć w zapewnienia o jej niewinności.

— Ach! — czy to nie dobry znak?

— Hm, a dlaczego nosiła truciznę przy sobie i skąd ją wzięła?

Robert siłą woli powstrzymywał się od uwagi, że flaszeczka od niego pochodzi. Czyż nie lepiej było przemilczeć ten fakt wobec jej obrońcy?

— Właściwie — rozważał dalej Ammarell po chwili namysłu, — skąd pan wie o tem wszystkiem? O ile ja wiem, postępowano w czasie dotychczasowego śledztwa z wielką dyskrecyą.

Doktor zmieszał się na to zapytanie. Wreszcie zdecydował się otwarcie wszystko opowiedzieć i wyznał przyjacielowi o swojem strasznem odkryciu całą prawdę.

Dr. Ammarell tupnął, zły, nogą.

— Otóż to właśnie jest najgorsze — mówił wzburzony. — Nie można nawet przypuścić, że ktoś obcy podsunął jej truciznę i wsadził do kieszeni. Fakta łączą się z niezbitą jasnością. Ona

zabrała panu flaszeczkę z morfiną, dziecko jej otruto morfiną, flaszeczkę znaleziono i jak sama zeznała, była to jej własność.

— Gdzie znaleziono flaszeczkę? czy u niej w kieszeni?

— Nie, w krzakach w ogrodzie, pod oknem pokoju dziecka. Gdyby nie była zrobiła tego głupstwa i nie przyznała, że znaleziona flaszeczka jest jej własnością, nie byłby to tak obciążający moment. Podejrzywanoby ją wtedy także, ale śledztwo umorzonoby prawdopodobnie, zanimby doszło do rozprawy.

— Jak to jednak pogodzić z tem, że ona zaprzecza, jakoby była winna? Zbrodniarka, która nie chciałaby się przyznać, nie powiedziałaby takiej rzeczy.

— Zapewne nie. Ale Marga Wolfern nie jest wyrafinowana. Jej czyn jest wynikiem strasznej rozpaczy.

Lekarz odpowiedział spojrzeniem, które bynajmniej nie podzielało zapatrywań adwokata.

— Proszę, opowiedz mi pan cały przebieg sprawy, nic nie wiem bowiem o jej szczegółach, — prosił Robert Burger.

Chętnie opowiedział mu wszystko Ammarell. Marga, po przyjeździe do Berlina, cały czas obracała na to, aby wystarać się o możność widywania dziecka. Używała w tym celu różnych podejść i przekupstw. A jeśli widziała swoje maleństwo bodaj w powozie, gdy przejeżdżało koło niej, to i tem się zadowalała, chociaż strzegła się, aby niepotrzebnie dziecka nie wzruszać. Nie wołała go, nie śmiała się do niego, z obawy, że dziecko będzie do niej tęskniło i boleśnie odczuwało jej brak. Były to troski, które mojem zdaniem, wobec duchowego stanu dziecka, były nieuzasadnione. Pewnego dnia nie zobaczyła dziecka na spacerze, podobnie było drugiego i trzeciego dnia. Pełna przerażenia odsuwa od siebie wszelkie obawy i spieszy do mieszkania barona Wolferna. Tutaj otrzymuje straszną wiadomość, że mały Rudolf zachorował na szkarlatynę. Od ubiegłej nocy choroba stała się niebezpieczną, dziecko silnie majaczy w gorączce i każda chwila może być ostatnią.

Wobec takich wiadomości wszelkie względy poszły na bok. Marga Wolfern kazała się zameldować u barona. Prosiła go o pozwolenie, aby mogła swe dziecko pielęgnować. Potworny egoista postawił za warunek, że musi go poślubić, inaczej nie dopuści jej do łoża dziecka. Ona nie chciała się zgodzić. Nastąpiła wstrząsająca scena. Marga płakała i prosiła, wreszcie upadła na kolana przed baronem, który wkońcu ustąpił wobec jej łez. Śmiertelnie przestraszona pobiegła do łoża chorego dziecka i od tej chwili ani na sekundę nie odstąpiła go. Ona...

— Przepraszam pana, — przerwał dr. Burger opowiadającemu, — przecież nie leczy się dziecka na to, aby je potem zabić? Czy pan nad tą zagadką się już zastanowił?

— Owszem, wszystko rozważyłem, doktorze. Niech pan słucha dalej. Mały pacyent przeszedł tuż koło wrót śmierci, wreszcie zwyciężyła sztuka lekarska w połączeniu z pełną poświęcenia opieką matki.

Straszna gorączka została złamana, chłopak, chociaż bardzo osłabiony, był już rekonwalescentem. Zdaje się. że w tem stadyum rzeczy baron wystąpił znowu z żądaniem, aby Marga opuściła chore dziecko, ponieważ uważał, że jest ona mu już niepotrzebną. „Tylko jeszcze jedną noc" prosiła go, płacząc. On zgodził się na tę jedną noc. Była to noc z wczoraj na dzisiaj, kochany przyjacielu — i w tej nocy zmarł chłopak, którego uważano za uzdrowionego. Zmarł nagle wśród objawów zatrucia.

— Jakżeż straszne!

— Niestety!... Baronowa czuwała nad dzieckiem wspólnie z dozorczynią chorych, to znaczy, ona zastała już tamtą, kiedy przybyła do łoża chorego dziecka. Naturalnie obie były do ostateczności wyczerpane. Skoro u dziecka nastąpił zwrot ku lepszemu, namówiła siostra baronową, aby trochę w dzień wypoczęła. Za to baronowa czuwała całą tę ostatnią noc, którą miała spędzić przy swem dziecku. O dziesiątej wieczór udała się siostra Marya na spoczynek, pozostawiając dziecko śpiące zdrowym snem. Ułożyła się, nie rozbierając się, w sąsiednim gabinecie na łóżku. Około trzeciej nad ranem zbudził ją ktoś nagle, szarpiąc za ramię. Zerwała się i ujrzała przed sobą baronową.

— Na Boga, chodź siostro prędko, — wołała ona, — zdaje mi się, że dziecko umiera.

Przerażona pospieszyła siostra do chorego i istotnie, chłopak, którego zostawiła w stanie zadowalającym, jęczał i rzucał się w łóżeczku, członkami wstrząsały kurcze, małe piersi podnosiły się z wysiłkiem. Władze umysłowe dziecka zupełnie osłabły, nie można się go było dowołać. Otwierało tylko odrobinę oczy, nie okazując żadnej przytomności.

— Dziecko ma recydywę — zawołała baronowa i rzuciła się z płaczem na kolana obok łóżka.

— Recydywa? Nie, — odpowiedziała zakonnica zaniepokojona. — To nie recydywa, pani baronowo. Musimy natychmiast posłać po doktora Majora. (Jest to domowy lekarz, który opiekował się dzieckiem).

— Czy pani uważa stan dziecka za tak niebezpieczny, siostro?



— Czy pan doktor nie zechciałby się widzieć z naszym panem baronem?

— Za bardzo niebezpieczny, — odpowiedziała ta, coraz bardziej niespokojna.

Zadzwoniła na służącego, a kiedy ten nadbiegł, jeszcze zaspany, rozkazała mu sprowadzić doktora, jak można najprędzej.

— Proszę powiedzieć doktorowi, że zaszedł wypadek zatrucia morfiną, — objaśniła go półgłosem.

Baronowa dosłyszała jednak cicho wymówione słowa.

— Jaki wypadek, siostro? zatrucie morfiną?

— Tak cała ta sprawa wygląda, pani baronowo. Objawy są tak charakterystyczne, że nie mogę się mylić. Byłam już przy kilku wypadkach takiego zatrucia morfiną, stąd znam się na nich dobrze.

— Ale na miłość Boga! jak to jest możliwe?

— Tego nie wiem. ale radźmy lepiej, zamiast rozmawiać. Może uratujemy jeszcze dziecko. Wypadki zatrucia morfiną, nawet w razie ciężkiego zatrucia, były uleczalne. Dajmy dziecku najpierw czarnej kawy, a potem zróbmy zimną kąpiel.

W kilka chwil potem zjawił się doktór. Potwierdził dyagnozę zakonnicy i zastosował natychmiast wszelkie możliwe środki zaradcze. Chłopak dostał atropiny, eteru, wypompowano mu żołądek, — napróżno jednak, — słabe życie gasło mimo wysiłku ratujących. Zaraz po odkryciu wypadku zawiadomiono opiekuna dziecka, nadbiegł śmiertelnie blady i nie chciał wierzyć strasznej wiadomości. Tyle dni przebył w trwodze o zdrowie swego pupila, teraz, kiedy już niebezpieczeństwo minęło, a on żywił jak najlepsze nadzieje, niespodziewana wiadomość spadła na niego, jak grom z jasnego nieba.

— Czyżby on istotnie tak kochał to dziecko?— przerwał dr. Burger z powątpiewaniem. — O tem dotychczas nigdy nie było mowy.

— To też nie była to wcale miłość, która zrodziła jego rozpacz, — odpowiedział adwokat. — Proszę sobie przypomnieć pewien ustęp ze zwierzeń baronowej Wolfern. Baron miał tylko prawo używania majątku, jak długo żył istotny spadkobierca, jego pupil. Stąd to zrodziła się ta troskliwość o życie dziecka, — ten zwykle zimny człowiek miał po prostu stracić wszelkie panowanie nad sobą i on był pierwszym, który rzucił posądzenie na baronową, że z nienawiści ku niemu dziecko otruła.

— Łajdak!

— W pierwszym rzędzie starał się dr. Major stwierdzić, co spowodowało nieoczekiwaną katastrofę. skoro spostrzegł, że wszelki ratunek jest już daremny.

— Jak to możliwe, aby dziecko dostało truciznę? — dopytywał się. — Kto czuwał nad dzieckiem?

— Ja — odpowiedziała baronowa.

— Pani zupełnie sama?

— Tak jest.

— Od kiedy?

— Od dziesiątej wieczór.

— I ani na chwilę nie odstąpiła pani od łóżka dziecka?

— Ani na chwilę.

Lekarz zamienił niespokojne spojrzenie z siostrą miłosierdzia.

— Czy dawała pani dziecku coś do picia?

— Tylko zwykłe lekarstwo i raz dla odświeżenia pić.

— Co?

— Kilka łyków lemoniady.

Doktor Major wziął szklankę, w której było jeszcze trochę lemoniady, zbadał zawartość i skosztował trochę.

— Nic niema. Gdzie jest lekarstwo?

— To to samo, które pan zapisał, doktorze, — zauważyła zakonnica. — Mały już od dwóch dni brał je z tej flaszki, bez żadnej dla siebie szkody. Posiało też tylko troszkę na dnie flaszeczki.

Lekarstwo stało jeszcze na stoliczku, obok łóżka. Lekarz spróbował ostrożnie zawartości.

— Niema wątpliwości, — zawołał, — lekarstwo jest zaprawione morfiną.

Baronowa zbladła.

— Nie można przypuścić, aby w aptece się pomylono, ponieważ dziecko wyżyło już większą część lekarstwa bez żadnej szkody dla siebie. Truciznę dodano więc potem do flaszeczki. Kiedy zażywał lekarstwo przedostatni raz?

— Dzisiaj rano. Chory miał zażywać lekarstwo trzy razy dziennie. W południe spał jednak tak mocno, że nie otrzymał zwykłej porcyi.

— A więc dopiero dzisiaj rano trucizna została dodana, — stwierdził lekarz. — Ponieważ musiała być specyalnie i z rozmysłem dolewana, nie może być mowy o przypadku lub niedbalstwie. Musimy natychmiast o wypadku zawiadomić policyę. Łaskawa pani, — zwrócił się do baronowej, — kiedy pani ostatni raz dawała lekarstwo dziecku?

— Około wpół do drugiej. Zasnął potem spokojnie tak, iż z początku nie wierzyłam, że nagle występujące objawy są następstwem kropli.

— Ile dała mu pani lekarstwa?

— Łyżeczkę od kawy, według przepisu.

— Kto w czasie dnia był w pokoju oprócz pani i zakonnicy? — wywiadywał się lekarz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córka Mickiewicza w Warszawie.

Prochy największego z wieszczów naszych, Adama Mickiewicza, przez długi czas leżały na obczyźnie, jak dotąd jeszcze na cmentarzu paryskim znajduje się grób Słowackiego, drugiego z nieśmiertelnej trójcy. Na obczyźnie też przebywają dzieci jedynego z trójcy, który pozostawił potomstwo, wieszcza Adama — syn i córka. Oboje mieszkają w Paryżu. P. Władysław Mickiewicz z pietyzmem gromadzi i ochrania wszelkie pamiątki po swym genialnym ojcu, z których utworzył prawdziwe muzeum, prócz tego jest wybitnym literatem. Córka, p. Marya Mickiewiczówna, zamężna Gorecka, niedawno przybyła do Warszawy, gdzie zamieszkała u swej krewnej p. Czerwiakowskiej w Alejach Ujazdowskich, przyjmowana i oprowadzana po Warszawie przez wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, prześcigających się w uprzejmości wobec „żywej pamiątki“ po wieszczu narodowym.

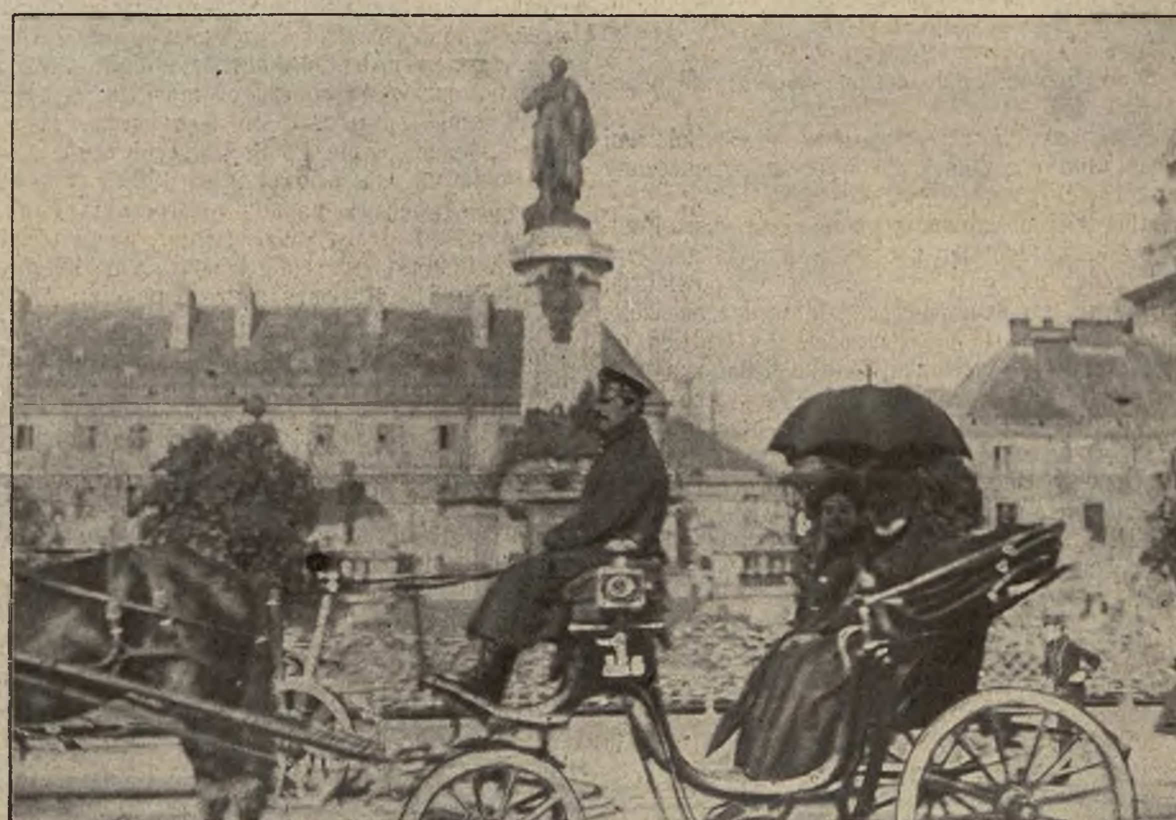


Córka Mickiewicza w Warszawie: Marya z Mickiewiczów Gorecka.

Wylew Wisły.

Rok obecny, który miał być rokiem wojny, stał się rokiem niebywałej klęski powodziowej. Skutkiem ciągłych deszczów wszystkie strumyki, rzeki i rzeczki wylewały kilkakrotnie, zatapiając olbrzymie przestrzenie. „Najłaskawszą“ była „królowa rzek polskich“ — Wisła, która dopiero po ostatnich deszczach wystąpiła z brzegów i zalała niżej położone pola. Ten wylew dotknął także dolną część Warszawy i zatopił tor kolejki wawerskiej.

Z tej powodzi warszawskiej, niezbyt zresztą groźnej, zamieszczamy kilka illustracyi.



Córka Mickiewicza w Warszawie: P. Gorecka z swą przyjaciółką p. Czerwiakowską przed pomnikiem Adama Mickiewicza. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

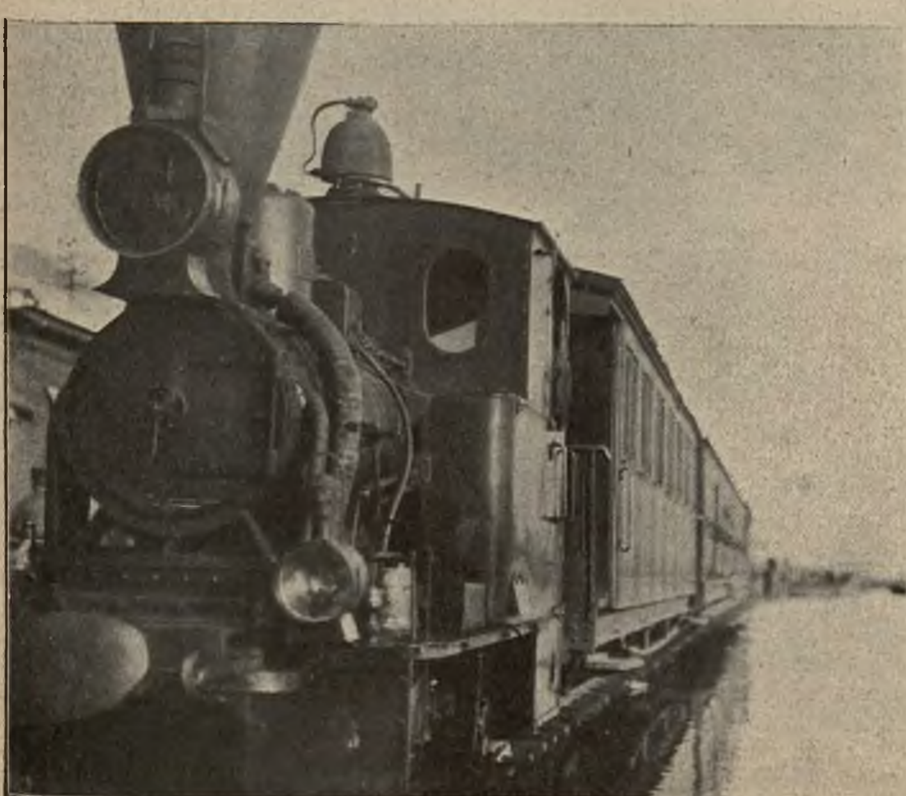
Echa wojny bałkańskiej.

Geniusz graniczy niekiedy z obłąkaniem, a bohaterstwo ze zbrodnią. Potwierdzeniem tej prawdy są ostatnie wypadki na Bałkanach. Potęga związku bałkańskiego i bohaterska walka z tureckim ciemięzcą wywołała zdumienie i podziw Europy. Niestety, walczący obok siebie sprzymierzeńcy, przy podziale zdobyczy przeistoczyli się w zajadłych wrogów, którzy w drugiej wojnie bałkańskiej nie tylko walczyli ze sobą, ale dopuszczali się niesłychanych w świecie cywilizowanym barbarzyństw.

Ta niezgoda ludów słowiańskich przywróciła znowu władzę Turcyi na Bałkanach. Armia turecka usadowiła się w Adryanopolu, o opuszczeniu którego przez Turków niema obecnie mowy. W tych dniach przybył do Adryanopola turecki następca tronu, aby osobiście kierować ufortyfikowaniem miasta i stwierdzić jego przynależność do Turcyi.

Na rozbiciu związku bałkańskiego najlepiej jednak wyszła Rumunia. Bez krwi rozlewu, nie straciwszy ani jednego żołnierza, odniosła zwycięstwo nad Bułgaryą, która bez jednego wystrzału oddała im część Dobrudży z miastem Sylistryą, a na Dunaju potopiła swe własne parowce, aby nie oddać je w ręce Rumunów.

Nikt też z pewnością nie spodziewał się takiego wyniku walk bałkańskich. Po to wylano rzeki krwi, złożono hekatomby z ciał ludzkich, wyludniono całe miasta, aby ci, co największe ponieśli ofiary, wyszli osłabieni i upokorzeni. — Z tego chaosu zmiennych wydarzeń obfitującej w najbardziej niespodziewane zwroty wojny bałkańskiej, podajemy szereg illustracyi, przedstawiających poszczególne jej momenty.





Wylew Wisły: Podmyty tor kolejki Jabłonna-Wawer pod Warszawą. Na stacyi „Most-Warszawa“. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Nie! Tak dalej absolutnie być nie może! Mamy strejk barometrów, które nie zważają wcale na żadne zmiany księżyca i ani rusz nie chcą się podnieść. Krakowianie napróżno spoglądają na chorągiewkę na wieży Maryackiej, by się przekonać, z której strony wiatr wieje, niestety, nie mogą się doczekać wschodniego. Ciągle zachodni i zachodni, niema nawet nadziei, by się zamienił na wschodni, który przynosi pogodę.

Ja przestałem już wierzyć we wszelkie przepowiednie, proroctwa, wróżby i przysłowia (prócz jednego: Baba z wozu, koniom lżej!...), widzę bowiem, że tak się spełniają, jak słowa znakomitego spirytysty Punar Bhavata, po polsku: pana Czyńskiego, który zapewniał, że w środku lutego starego stylu wybuchnie ogólna wojna europejska.

Luty minął, kończy się już sierpień, Europa siedzi cicho, rusza się tylko Bałkan.

To jednak muszę przytoczyć na obronę proroka, że nie powiedział wyraźnie, w którym roku należy się tego wybuchu spodziewać.

Jeśli zaś myli się taka znakomitość, żyjąca za pan brat z duchami, nic też dziwnego, że mizerny kronikarz przepowiada wciąż pogodę, a deszczyk nic sobie z tego nie robi, kapie i kapie.

Kogo tego roku nie uszczęśliwi czarna melancholia, ten może powiedzieć o sobie z czystem sercem, że ma zdrowe nerwy, dajmy na to, „jak byk", jeśli wolno użyć tego homerycko-zoologicznego porównania.

Bez kaloszy, płaszcza gumowego i parasola ani się waż ruszyć z domu, bo wrócisz przemoczony do nitki!

Najbardziej pożałowania godnemi są nasze letniczki, które, korzystając z czasu wakacyjnego, wyjechały kędyś na wieś, by użyć świeżego powietrza. Oj! Używają go pełną piersią, ale w dusznej izbie, nie mają nawet tej przyjemności, by widzieć od czasu twarz swego małżonka, skutkiem bowiem podmycia torów kolejowych pociągi, tak zwane kominiarskie, albo zupełnie wstrzymano, albo przychodzą z ogromnem spóźnieniem.

Słusznie pewien stary kolejarz-filozof, pouczając swego młodszego kolegę, tak raz powiedział:

— Pociągi osobowe, panie kolego, to jak śmierć! Wie się, że ona musi przyjść, nie wie się jednak, kiedy!...

I tej właśnie metody trzyma się stale zarząd kolejowy, szczególniej w lecie, gdy się zaś kto uskarża na to, winę całą spycha się na *vis major*, a ta jest ogromnie cierpliwa.

Ponieważ więc tegoroczne lato zupełne zrobiło *fiasco* i po prostu na marne poszły takie sumy pieniędzy i ja, i inni ojcowie rodzin postanowiliśmy zażądać zwrotu kosztów wysłania żon i dzieci na tak zwane świeże powietrze, nie wiemy tylko, do kogo się mamy zwrócić.

Gdyby ktoś mógł mi służyć informacyami w tym względzie, przyjmę je z wdzięcznością.

Nie udał się naturalnie i odpust w Kalwaryi, dokąd się ofiarowałem pieszo, aby uprosić pogodę. Z powodu deszczu już na Podgórzu zgubiłem w błocie but i z Bonarki powróciłem koleją do Krakowa.

Wystarczy powiedzieć, że od dziesiątego czerwca pada deszcz prawie bez przestanku. W całym tym okresie raz tylko mieliśmy dwa dni pogody bezpośrednio po sobie następujące, zaraz po nich przez trzy dni lało, jak z cebra.

Mój barometr spadł tak nizko, że aż się potłukł, nowego z irytacyi nie kupię, boję się bowiem, by przypadkiem nie pokazywał niepogody tak samo, jak tamten.

Chorowałem zresztą na reumatyzm stawowy, tą drogą otrzymuję też najpewniejsze prognozy meteorologiczne.

I właśnie teraz strzyka mnie znowu w prawem kolanie, a to pewny znak, że będziemy mieć dalej słotę.

Tonący deski się chwyta, ja chwytam się teraz tej metody, że zaczynam przepowiadać ciągle niepogodę, ponieważ zaś moje proroctwa z zasady się nie sprawdzają, przypuszczam, że aura może przecież zmieni się na lepsze.

Zupełnie tak samo, jak mnie w meteorologii, tak wiedzie się koledze Berchtoldowi w polityce. Tak ma szczęśliwą rękę, że czego się chwyci, zawsze klapa! Zachciało mu się gwałtownie reformy traktatu bukareszteńskiego, znalazł się znowu odosobnionym, a to tak go zmartwiło, że postanowił spakować manatki, podać się do dymisyi i osiąść w swym majątku pod Ungarisch Hradisch, gdzie ma ochotę rozpocząć hodowlę cieląt zebu, o których cesarz Wilhelm wyraził się niedawno z takiem uznaniem.

Jest biedak w strachu nielada, dowiedział się bowiem z *Gazety Poniedziałkowej*, którą czyta co wtorek, że Turcy mają ochotę wziąć się na ostro do tych, którzy im dotąd skórę trzepali i zaczynają, idąc po alfabecie, od Bułgarów. Potem przyjdzie kolej na Czarnogórców, Greków, Serbów i tak dalej. Ponieważ zaś i Austrya umaczała w tem swe ręce i zabrała im bezprawnie wyspę Ada Kaleh, kto wie, czy padyszach nie każe swym walecznym hufcom ruszyć pod Wiedeń. A tu, jak na złość, niema już Sobieskiego, by mógł iść na pomoc.

Zapytany przez ekscellencyę Berchtolda, co o tem myślę, odpowiedziałem zaraz, że jestem tego zdania, by, jak to mówią, „po dobroci" oddać Turkom ich własność, z której i tak żadnej nie będziemy mieć korzyści.

Tak go to dotknęło, iż wniósł rzeczywiście prośbę o przeniesienie w dobrze (?) zasłużony stan spoczynku.

Prośby tej jednak nie przyjęto, z czego najbardziej niezadowolony jest pan Stapiński. Spodziewał się, że spadek po Berchtoldzie obejmie jego przyjaciel serdeczny, pan Biliński, a ten obiecał mu, że go zrobi ambasadorem austryackim w Kanadzie. Tymczasem znowu z tego nici.

Przyznam się szczerze, że nie ubiegałbym się wcale o stanowisko kierownika naszej polityki zagranicznej, choć bowiem miałby człek ładniejsze do chody, niż n. p. jako kronikarz *Nowości Illustrowanych*, z nimi jednak powiększyłyby się i kłopoty, a ja tego, przyznam się, ogromnie nie lubię. Zresztą minister spraw zagranicznych musi ciągle pchać nos w nieswoje sprawy, a to jest bardzo niebezpiecznem, bo mogą mu go przyskrzynić!

Ponieważ mowa o polityce trzeba wspomnieć, iż podnoszą się głosy, aby tegorocznym laureatem Nobla został słynny dr. Rosegger, poeta niemiecki, twórca funduszu na cele germanizacyjne kresów słowiańskich. Ma otrzymać nagrodę pokoju.

Bodaj w konia wlazł autor tego projektu! Wszak właśnie ów starowina jest typowym przedstawicielem Germanii wojującej! Daleko odpowiedniejszem byłoby, gdyby o to samo ubiegał się n. p. król Karol rumuński, który w całkiem pokojowy sposób powiększył swe terytoryum, albo Ferdynand, car bułgarski, za to, iż tak prędko zdecydował się na zawarcie pokoju z czterema bijącymi go sąsiadami.

Obaj mogą liczyć na moje poparcie, nie żądam za nie żadnego absolutnie specyalnego wynagrodzenia, prócz wdzięczności.

Nie możemy się też doczekać załatwienia sprawy albańskiej. Rozchodzi mi się głównie o to, kto zasiędzie na tronie, konkurs bowiem rozpisany, kompetentów zgłosiło się dość, ale żaden z nich nie ma specyalnych szans, choć warunki są stosunkowo bardzo przystępne. Jak wszędzie, tak i tutaj, wysłużeni podoficerowie mają pierwszeństwo i dopiero w ich braku posada nadaną zostanie innemu kandydatowi.

A propos wysłużonych podoficerów, muszę zwrócić uwagę na jeden objaw, bardzo smutny, któremu, niestety, trudno będzie zaradzić.

Panował dotąd zwyczaj w armii austryackiej, iż wachmistrze i feldwebele, o ile wysłużyli czynnie lat dwanaście i byli tak zwanymi rachunkowymi, czyli manipulacyjnymi, mieli prawo do certyfikatu urzędniczego, inni musieli się zadowolić posadami sług państwowych i t. d. Obecnie zmieniły się stosunki o tyle, iż o ów urzędniczy certyfikat mogą się ubiegać wszyscy podoficerowie, postawiono jednak za warunek, że, aby uzyskać posadę urzędniczą, muszą się wykazać ukończoną niższą szkołą średnią.

Zaczęła się więc na gwałt fabrykacya intelligentów z ukończoną niższą szkołą realną, materyał bowiem, przeznaczony na niższe gimnazyum jest zbyt trudny i obszerny, by go można opanować w przeciągu jednego roku, gdyż tak długo trwa zazwyczaj tego rodzaju kurs przygotowawczy.

Kandydaci — często po długich a dolegliwych cierpieniach — zdają wreszcie egzamin, rozpoczynają praktykę, no i zostają urzędnikami. Osiągnęli cel swych marzeń, mogą przywdziać c. k. czapkę z bączkiem, flottenrock i szpadę i pomnożyć w ten sposób szeregi urzędniczego proletaryatu, żaden z nich bowiem, mając świadectwo z czwartej klasy szkoły średniej w kieszeni, nie pomyśli o wybraniu sobie jakiegoś zawodu praktycznego.

Zostawszy kancelistą, o ile nie posiada osobistego majątku, zaczyna dopiero biedowanie. Jako c. k. urzędnik państwowy chciałby żyć, jak to mówią „*standesgemäss*", a dzieci wychować koniecznie także na urzędników, a tu szczupła pensyjka absolutnie na to nie wystarcza.

Lamenty, narzekania i robienie długów — oto konsekwencye tego rodzaju pojmowania rzeczy.

Proszę mi teraz powiedzieć, czy taki wysłużony podoficer, mając ukończoną niższą szkołę średnią, nie zrobiłby lepiej, gdyby się poświęcił jakiemuś zawodowi praktycznemu, w zakresie n. p. rękodzieła lub przemysłu? Czy społeczeństwo nasze nie odniosłoby większej korzyści, mając o jednego więcej intelligentnego rękodzielnika, niż widząc wzmagające się ciągle kadry głodomorów, narzekających na cały świat i przeklinających swą dolę?

Niestety, u nas dzieje się inaczej, niż gdzieindziej na świecie. Dużo mówi się o demokratyzacyi obecnego pokolenia, tymczasem widzi się na każdym kroku, że mamy strasznie wiele nawyczek arystokratycznych, co zaś najgorsze, zupełnie spaczonych.

Coby to ludzie powiedzieli, gdyby n. p. pani c. k. kancelistina zaprzyjaźniła się z panią szewcową! Włosy na głowie powstają na samą myśl o czemś podobnem!...

A tymczasem pani szewcowa, jeśli jest kobietą praktyczną i nie jest także zarażoną wielkopańskiemi fumami (bo i to się zdarza), wiedzie sobie żywot dostatni, gdy tymczasem pani „urzędniczka" klepie biedę, aż trzeszczy!

Pozory jednak trzeba utrzymać, bo „jak cię widzą, tak cię piszą!"

Te arystokratyczne mrzonki już wiele nam szkody wyrządziły, mówi się ciągle o upremysłowieniu kraju, tymczasem ciągle dąży się do „zaurzędniczenia" go tylko. Mnożą się szeregi chcących brać pensyę miesięczną, coraz większy okazuje się brak rąk do pracy.

Za granicami kraju, u Czechów i Niemców, jest inaczej, tam dawno już zwyciężył zmysł praktyczny. To też tam dzieje się daleko lepiej, gdy my tymczasem jęczymy tylko i płaczemy, ale nie robimy nic, by stosunki zmieniły się na lepsze.

W takim Wiedniu, rzemieślnik intelligentny, to pan całą gębą, na urzędnika, choćby nawet ze złotym kołnierzem, patrzy z góry, uważając go, nieraz może i słusznie, za darmozjada, na którego musi pracować.

Zupełnie to samo odnieść można i do większości naszych rodziców, którzy całe szczęście swych dzieci, widzą tylko w ich przyszłej karyerze urzędniczej. Z obopólną szkodą pchają je przez szkołę średnią, potem przez uniwersytet i zdaje im się, że osiągnęli cel marzeń, gdy synalek został wreszcie panem urzędnikiem, choćby nawet na razie bez pensyi.

O ile byłoby to lepiej, gdyby chłopiec, skończywszy szkołę średnią, wykształciwszy się za granicą, kogo stać na to, zabrał się potem do rzemiosła lub przemysłu!

Ale to nie wypada! Coby ludzie na to powiedzieli!

Średniowieczne to zapatrywania, niestety, większość hołduje im stale i dlatego rękodzieło i przemysł nasz schodzą na psy, wytworami swymi zalewa nas zagranica, a my tylko stękamy, jacy my to jesteśmy nieszczęśliwi.

A kto temu winien?... My sami!

Dzięki Bogu stosunki, choć powoli, zmieniają się na lepsze, sam znam w Krakowie kilku rękodzielników, którzy ukończyli szkołę średnią i zdali maturę, a nie wstydzą się pracować uczciwie za ladą lub przy warsztacie. Dzieje im się też dobrze, a koledzy ich, którzy obrali karyerę urzędniczą w skrytości ducha zazdroszczą im i żałują, że i oni tak niegdyś nie postąpili.

Żadna praca nie hańbi, z czystem sumieniem możemy nawet powiedzieć, że praca w zakresie handlu, przemysłu i rękodzieła, to cała nasza przyszłość i nadzieja odrodzenia ekonomicznego, a to postawić dziś musimy z konieczności na pierwszem miejscu.

W Królestwie Polskiem i Księstwie Poznańskiem jest już inaczej. Dlatego też bracia nasi z za kordonu nazywają nas słusznie galicyjskimi dziadami i słusznie z nas się śmieją!

Zgon przywódcy socyalizmu niemieckiego.

W Zurychu, na wolnej ziemi szwajcarskiej, zmarł dnia 11 b. m. nagle, na udar serca, August Bebel, znany trybun ludowy, nestor i długoletni przywódca socyalizmu niemieckiego.



Wylew Wisły: Dorożkarze warszawscy skwapliwie korzystali z wylewu i mycie dorożek szło raźno. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Zgon przywódcy socyalizmu niemieckiego: August Bebel.

Była to jedna z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych postaci współczesnych sprusaczonych Niemiec. Zarówno jako mowca ludowy i jako poseł w parlamencie występował zawsze przeciwko reakcyjnej polityce rządu i junkrów pruskich, między innemi przeciwko hakatystycznej polityce antypolskiej, a ze zdaniem jego liczyły się zarówno przeciwne stronnictwa, jak sam rząd. Był jednym z twórców socyalistycznego ruchu robotniczego w Niemczech i najbardziej poważanym człowiekiem w swej partyi, zarówno dla charakteru, jak dla sporej wiedzy.

I stanowisko, i wiedzę, i wpływ polityczny zdobył tylko własnym wysiłkiem i talentem. Syn podoficera, wcześnie osierocony, był w młodości robotnikiem tokarskim. Powoli, założywszy własny warsztat, dorabiał się majątku, a jednocześnie dzięki wymowie i zdolnościom organizacyjnym tworzył ruch robotniczy, który go później wyniósł na posła parlamentarnego. Podczas kilkuletniego więzienia w twierdzy Hubertusburg, na które był skazany w r. 1872 za zdradę stanu, napisał książkę „Kobieta i socyalizm"; rozeszła się ona w milionach egzemplarzy i przyniosła autorowi pieniądze i popularność. Posłował Bebel do parlamentu od r. 1867. Urodzony pod Kolonią w r. 1840, w chwili zgonu liczył lat 73.

Wiec introligatorów w Krakowie.

W dniach 15, 16 i 17 b. m. odbył się w Krakowie I. krajowy wiec introligatorów, urządzony staraniem Stowarzyszenia introligatorów krakowskich. Głównym impulsem do urządzenia wiecu było rozporządzenie Najwyższego Trybunału administra-



Wiec introligatorów w Krakowie: Grupa uczestników wiecu.

cyjnego, przyznające prawo kompletnego oprawiania książek drukarniom. Wiec, odbyty przy licznym współudziale delegatów Stowarzyszeń całego prawie państwa, przedstawicieli władz, Izb handlowych i rękodzielniczych, Instytutów popierania rękodzieł i przemysłu, oraz przedstawicieli prasy, miał przebieg bardzo poważny. Wszystkie mowy, wszystkie rezolucye wyrażały protest przeciw temu rozporządzeniu i streszczały potrzeby, których rychłe tylko zaspokojenie uchronić może przemysł ten od szybkiego i zupełnego zniszczenia.



Kłopoty następcy Csuvaja: Nowy komisarz królewski dla Chorwacyi, baron Iwan Skerlecz.

Wśród serdecznego nastroju odbył się w pierwszy dzień wiecu bankiet, urządzony przez członków Stowarzyszenia krakowskiego na cześć przybyłych na wiec gości, na którym wygłoszono szereg toastów. Przed przyjęciem odbyła się wspólna fotografia uczestników wiecu, której reprodukcyę zamieszczamy.

Kłopoty następcy Csuvaja.

Jednym z najważniejszych punktów programu politycznego nowego prezydenta gabinetu węgierskiego, hr. Stefana Tiszy, jest zaprowadzenie ładu wewnętrznego w Chorwacyi i uporządkowania stosunków między tym krajem a Węgrami.

W pierwszym rzędzie przyczynić się miało do tego przepędzenie osławionego komisarza królewskiego, Csuvaja, a zastąpienie go przez barona Iwana Skerlecza, który też rzeczywiście objął rządy w dniu 21 lipca b. r.



Katastrofy aeroplanowe: Szczątki hydroaeroplanu lotnika angielskiego pułkownika Cody'ego. (Do art. na str. 10).

Nowy komisarz królewski, zajęty dotąd w biurze prezydyalnem węgierskiej Rady ministrów, znany ze swego pojednawczego usposobidnia, zabrał się energicznie do dzieła, które jednak natrafiało ciągle na różnorodne trudności. Z jednej strony usiłowania jego paraliżuje szowinizm i zachłanność Madziarów, nie chcących się zgodzić na żadne ustępstwa wobec ludności słowiańskiej, z drugiej znów jej rozgoryczenie. Chorwaci, nauczeni doświadczeniami, nie wierzą słodkim słowom polityków węgierskich.

Niezrażony tem baron Skerlecz nie ustał przecież w pracy, tymczasem nastąpiła znów katastrofa, która żadną miarą nie przyczyni się do przywrócenia w kraju normalnych stosunków.

W dniu 18 sierpnia b. r., gdy komisarz królewski, po nabożeństwie, urządzonem w rocznicę urodzin cesarza, opuszczał katedrę zagrzebską, przystąpił doń pewien młody człowiek i z oddalenia trzech kroków strzelił doń z rewolweru, raniąc go, na szczęście, dość lekko.

Sprawcą zamachu był 23-letni Stefan Dojcik, młody Chorwat, który jak zeznał, specyalnie przybył do Zagrzebia z zamiarem zabicia królewskiego komisarza, ktokolwiekby nim był, tak bowiem postanowił związek chorwackiej młodzieży w Ameryce.

Wiadomość o zamachu wywołała w całym kraju oburzenie, a w Budapeszcie stracono nadzieję nawiązania z Chorwacyą znośniejszych stosunków.

Nieproszony ofiarodawca.

(Do illustracyi na str. 4).

W tych dniach odbyło się w miejscowości Vangenes w Norwegii odsłonięcie pomnika narodowego bohatera norweskiego Frithjofa, który tam został wzniesiony nad fiordem, kosztem cesarza Wilhelma. Król norweski Hakoon i cesarz Wilhelm przybyli na uroczystość odsłonięcia. Cesarz Wilhelm wygłosił naturalnie długą mowę, w której pomiędzy innemi podniósł, że posąg Frithjofa jest symbolem jedności szczepów germańskich, które powinny „wiernie i silnie" trzymać z sobą. Król Hakoon odpowiedział po niemiecku, dziękując Wilhelmowi za posąg. „Proszę wszystkich Norwegów — zakończył król Hakoon — ażeby wznieśli trzykrotne „Hura!" na cześć cesarza".

Obecni krzyczeli z całego gardła, ale nie byli to „wszyscy" Norwegowie. Przeciwnie, ogół Norwegów wcale nie jest zadowolony z upominków cesarza, ani z inwazyi niemieckiej. Wychodzący w Drontheim dziennik „Nidaros" zwraca uwagę na fakt, że eskadra niemieckiej marynarki wojennej corocznie krąży po wodach norweskich, czyniąc tam pomiary głębokości i poprawiając mapy.

„Takie niekrępowanie się u nas obcych przybyszów świadczy, że Norwegia nie jest przez nich uważana za równorzędne państwo".

Sprawę tę podniósł w parlamencie norweskim, to jest w storthingu, deputowany Michelet, który także zwrócił się przeciwko odwiedzinom obcych pancerników, a następnie podniósł, że cała impreza z Frithjofem jest „niesmaczna".

Reprodukujemy tu ten posąg, „prezent" wielomównego ofiarodawcy, który spotkał się z bardzo chłodnem przyjęciem u „obdarowanych".

Kursy zawodowe.

(Do illustracyi na str. 10).

W szeregu kursów zawodowych, organizowanych w różnych miejscowościach Galicyi, odbył się we Lwowie kurs tapicerski dla majstrów i czeladników, urządzony staraniem Instytutu technologicznego. Kurs trwał 5 tygodni, a wyniki jego były bardzo pomyślne. Na kurs uczęszczało 7 majstrów i 5 czeladników, a nauki udzielali instruktor p. Lankotsch z Wiednia i inżynier Instytutu technologicznego p. Porębski, który prowadził naukę rysunków. W czasie kursu wykonano szereg robót, które wystawiono w Instytucie technologicznym.

Po zamknięciu kursu odbyło się towarzyskie zebranie majstrów tapicerskich i uczestników kursu, na którem serdecznie dziękowano organizatorom kursu za ich starania i pracę.

Miasto przyszłości.

(Do illustracyi na str. 10).

Reymont w swojej powieści o Łodzi przyrównał wielkie miasto do chorobliwej złośliwej narośli, która,



Echa wojny bałkańskiej: Turecki następca tronu w Adryanopolu.

rozrastając się, niby mackami polipa ogarnia coraz większą przestrzeń kraju wokoło, wysysa ją, zatruwa i niszczy. Obok tego jest wielkie miasto piekłem walki o byt, dyabelskim młynem, w którego zawrotnym wirze ścierają się na szary proch codzienności ludzkie dusze, ciała, zdrowie, siły. A jednak ludzi ciągnie do tego polipa, piekła, dyabelskiego młyna. Nowych miast powstaje na świecie mało, natomiast istniejące już wielkie, rozrastają się do potwornych rozmiarów. Jednem z takich najbardziej typowych miast-olbrzymów, miast przyszłości — jest Nowy Jork. Kilka milionów ludzi stłoczyło się tu niesłychanie na ciasnej przestrzeni i tłoczą się coraz więcej. Nowy Jork rośnie niemal z każdym dniem i granic temu niema. Olbrzymie kamienice „drapacze nieba" wystrzelają na stokilkadziesiąt metrow w górę i mieszczą nieraz po 10—15 tysięcy mieszkańców. Ulice pomiędzy temi domami wyglądają jak głębokie, ponure, ciasne wąwozy, na dnie których kłębi się i przewala bezustannie niezliczone mrowie ludzkie. A pomiędzy tem mrowiem przelatują koleje, tramwaje, samojazdy, dorożki, wozy prowiantowe; w tłoku niepodobna uniknąć wypadków i kroniki New Jorku notują codziennie kilkadziesiąt ofiar. Aby temu zapobiedz, jedno z pism amerykańskich „Scientific American" podało niedawno projekt stworzenia w Nowym Jorku nowej sieci linij komunikacyjnych — oddzielnych dla wszelkiego ruchu kołowego, oddzielnych dla pieszych przechodniów. Na podanym rysunku, przedstawiającym ulicę Nowego Jorku w przyszłości podług tego projektu, — widzimy osobne chodniki dla pieszych wzdłuż ulicy, ułożone jedne nad drugimi wzwyż, podczas gdy ruch kołowy idzie wyłącznie środkiem ulicy na samym dole. Osobne chodniki napowietrzne bardzo wysoko, niby mosty, służą do przechodzenia ulicy pieszo w poprzek. Uwidoczniony na przednim planie przekrój tej ulicy pod ziemią wykazuje, że poważna część arteryi komunikacyjnych kołowych znajduje się także pod ziemią, tak, jak to jest już zresztą w Paryżu i Londynie. Z boku w przekroju widzimy podziemne piętra „drapaczy nieba".

Ponieważ Amerykanie nie cofają się przed żadnemi trudnościami technicznemi, więc i ten projekt może już niedługo będzie urzeczywistniony.

Z karty żałobnej.

S. p. Eugeniusz Minkowicz-Wysoczański.

Miasto Sokal poniosło bolesną stratę przez śmierć długoletniego swego burmistrza i honorowego obywatela, Eugeniusza Minkowicz-Wysoczańskiego.

S. p. Zmarły piastował przez lat dziewiętnaście z rzędu godność burmistrzowską ku ogólnemu za-



Ś. p. Eugeniusz Minkowicz-Wysoczański, długoletni burmistrz i honorowy obywatel miasta Sokala.

dowoleniu, pracował ponadto prawie we wszystkich miejscowych towarzystwach i instytucyach.

Około rozwoju miasta Sokala położył niespożyte zasługi, zaletami serca i umysłu zaskarbił sobie i zjednał wszystkich współobywateli bez różnicy narodowości i wyznania.

Zmarł we Lwowie w dniu 5 b. m. w powrocie z Truskawca, dokąd udał się celem poratowania zdrowia.

Zwłoki przewieziono do Sokala i tam pochowano.

Ś. p. Szczęsny Bednarski.

W ubiegłym tygodniu zmarł we Lwowie były prezes, a do ostatnich czasów skarbnik gremium drukarskiego, ś. p. Szczęsny Bednarski, osobistość w nadpełtwiańskim grodzie nadzwyczaj popularna.

Ś. p. Zmarły był wzorem, jak się żelazną pracą i wytrwałością a przytem uczciwością dochodzi do samodzielności.

Od najmłodszych lat lubiany przez kolegów zawodowych, dla nich też poświęcił swe siły, był też, jako redaktor zawodowego pisma „Czcionka“, jednym z inicyatorów umysłowego ruchu wśród lwowskich drukarzy.

Z biegiem czasu, nie godząc się na nowe prądy wśród towarzyszy, wycofał się z życia publicznego i oddał całkowicie drukarni, którą nabył na własność wśród najtrudniejszych warunków i doprowadził do prawdziwego rozkwitu.

Ś. p. Bednarski pracował też owocnie na polu literackiem i wydał kilka broszur, między niemi „Materyały do historyi drukarń w Polsce“.

Dla prawości charakteru cieszył się Zmarły ogólnem poważaniem, pozostawia też po sobie jak najlepsze wspomnienie.



Ś. p. Szczęsny Bednarski, były prezes lwowskiego Gremium drukarskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

Logogryf:

	S	i	**a**	n	o	
	M	y	**d**	ł	o	
P	o	l	**o**	n	e	z
	L	a	**l**	k	a	
	T	y	**f**	u	s	
U	r	o	**d**	z	a	j
	S	t	**y**	p	a	
	Z	e	**g**	a	r	
L	a	z	**a**	r	e	t
	P	a	**s**	e	k	
	A	l	**i**	n	a	
G	l	i	**ń**	s	k	i
	B	a	**s**	e	n	
	W	i	**k**	t	a	
K	i	b	**i**	t	k	a

Łamigłówka:

Kola.
Anam.
Nora.
Igła.
Karo.
Uran.
Ława.
Aron.

Bilety wizytowe: Francya, Marsylia; Austro Węgry, Ada Kaleh; Austrya, Ada Kaleh.

Łamigłówka literacka:

Rodziewiczówna.
Esteja.
Dygasiński.
Umiński.
Tołstój.
Abgar Sołtan.

Szarada: Pokrzywa.

Szarada: Tran, nart.

Rebus: Kiedy sroka na płocie skrzeczy, albo kot się myje, pewno goście niedaleko.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D Sedyńska Kraków, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów. S. Krzyżanowski Podgórze, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów. M. Planecka Kraków F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, W. Januszewiczowa Warszawa, L. Skorbutt Warszawa, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn. H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, M. Arbesbauer Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blatterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A Dużak Kraków, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, S. Chełmicki Wilno, K. Fuchs Czeremchów, J. Kalinowska Mińsk, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków. F. Horak Oświęcim, J. Halski Janów. B. Sługocki Lwów. H. Radomska Kraków, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze. Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **B. Osadziński Krosno.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

W „Chromofotoskopie“ ul. Floryańska L. 4. (parter) jest wystawiona zbiorowa serya zdjętych z natury bardzo pięknych interesujących widoków „Tatr Zachodnich“, „Tatr Wysokich“ i „Tatr Bielskich“. Przed oczyma widza przesuną się widoki z Zakopanego, pobliższe wycieczki do Morskiego Oka i Pięciu Stawów. Wspinanie się na szczyty, zakładanie pętli, opuszczanie się ze szczytu na linie, zejście z Zawratu, dalej Morskie Oko, Czarny i Zielony Staw, szczyty Swinicy i Zawratu, Mnicha, Cubryny Nieguszowickiej, Rysów, Wysokiej Łomnicy, Gerlachu i t. p. Prócz tego znajduje się podobizna ś. p. Klimka Bachledy.

Są to jedyne zdjęcia w Polsce naszych uroczych Tatr, dokonane z wielkim trudem i nakładem kosztów, dlatego też zakład wystawiający je zasługuje na poparcie. Od dnia 30 sierpnia wystawiona będzie serya widoków z minionej morderczej „Wojny bałkańskiej“.

Ze świata kobiecego.

Specyalności eleganckiej mody.

W ubiegłych sezonach zasadą eleganckiej mody było, aby między gatunkiem materyi a kolorem i przybraniem panowała ścisła harmonia. Suknie lub kapelusze nosiły cechy dyskrecyi w doborze barw i zestawieniu, a także ta dyskrecya nadawała główny ton wymogom mody. Obecna moda zerwała pod pewnymi względami z dyskrecyą. Suknie, kapelusze, krój ich i fasony zaczynają przeciwnie być wpadającymi w oczy. Moda harmonijnego ukrywania kształtów ciała, która dawniej kazała nosić suknie, zapięte pod szyję, spodnice szerokie, nie pozwalające widzieć zarysu nóg, obecnie zerwała zupełnie z tymi tradycyjnemi formami. Dzisiaj elegancyą jest ta niedyskretna dyskrecya w ubraniu, która pozwala przez rozcięcie sukni z boku dojrzeć nóżkę w eleganckiej pończoszce prawie po kolano lub odsłania w głębokiem wycięciu szyję i ramiona, oraz wreszcie zręcznymi fałdami spowija kształty, tak, iż nieraz można dojrzeć całą dokładną sylwetkę. Nowa moda, idąc w tym kierunku, raczej zmysłowym niż eleganckim, dobiera delikatnych cienkich materyi, przezroczystych gaz i woali, z których tworzy fantastyczne nieraz kombinacye nowoczesnych sukien.

Doskonałym przykładem tego są w obecnym sezonie n p. kostyumy spacerowe z wycięciem i z krótkimi rękawkami, zestawienie, któreby dawniej uważane było wprost za zbrodnię przeciw regułom mody.



Suknie letnie: (z lewej) wieczorowa z jasno-różowego atłasu, przybrana białym szyfonem i wstążkami, (z prawej) wizytowa z różowej *charmeuse* z frendzlą perłową.

Bardzo oryginalny kostyum na popołudniu widziałam w jednym z wielkich magazynów francuskich. Jest to tak zwany nowy fason *passe-vartout*, stanowiący coś pośredniego między kostyumem a suknią *matine*. Nadaje się doskonale na suknię spacerową, do cukierni i t. p. Kostyum składał się z trzech rodzajów materyi, mianowicie z woalu o kolorze poziomkowym, z rypsu jedwabnego szarego i szerokiej koronki. Spodnica owijała się w fałdach wokoło kolan, tworząc zarazem na biodrach krótkie *pseudopanier*. Stanik stanowił fason *eoliénne*, którego wąski, wykładany kołnierz z rypsu jedwabnego z przodu kończył się złotymi guzikami. Przód stanika zdobiła ładna *chemizeta* z koronki białej. Na stanik przychodził rodzaj żakietu, o bardzo szerokich rękawach formy *kimono*, zrobiony cały z złotej koronki na szarym jedwabiu.

Uzupełnienie całości stanowił kapelusz malinowy, przybrany szarą rypsową wstążką i wielką aksamitną różą.

Mniej skomplikowany był kostyum jesienny, złożony z białej spodnicy *frotté*, oraz z szmaragdowozielonego żakietu z *moiré*. Oryginalnym był krój żakietu, który ujęty w pasie rodzajem przepięcia, był w piersiach lekko marszczony, a potem przechodził w długie gładkie poły. Z przodu zapięty był na duże molachitowe guziki. Zarówno wycięcie żakietu, jak i rękawy, ozdobione były pełną białą riuszą tiulową.

Sezon letni, kończąc się obecnie, pozostawił jedną zasadę, którą przejmuje także i jesienny sezon, mianowicie wykluczył zupełnie prawie noszenie kapeluszy słomkowych. Kapelusze letnie miały tego roku wszelkie cechy kapeluszy jesiennych, ba! nawet zimowych. Właściwie więc nie będziemy mieli sezonu przejściowego.

Czarne kapelusze aksamitne będą noszone także w jesieni, a wielkie upięcia i długie welony z tiulu *maline*, cieszyć się będą ogólnem uznaniem. Obok aksamitu zyska sobie odpowiednie zastosowanie plusz prasowany. Co do kolorów, to najchętniej noszoną będzie kombinacya biało-czarna, poza tem w barwach pojedyńczych stoi na pierwszem miejscu kolor czarny, obok niego zaś jako modny kolor ciemno-brązowy, który nosi oryginalne nazwy *contré* lub *Fourrure*. Również noszony będzie kolor szaro-niebieski, zwany *petrol*, który często będzie tak ciemny, że prawie przechodzący w czarny.

Jako dalsze modne kolory, wymienić należy jeszcze zielony, ale ciemny, *tête de Nègre*, *cerise* i staro-złoty.

Przeważać będą w jesieni fasony średniej wielkości, główki będą miękkie, reszta twarda. — Rondo podwijane będzie przeważnie z lewej strony. Prawa strona natomiast winna silnie w dół opadać, zakrywając często oko i ucho. — U niektórych fasonówjest brzeg z tyłu trochę szerszy, a wtedy podwinięty ku górze.

Jako przybranie kapeluszy służyć będzie w jesieni przedewszystkiem wstążka, zwłaszcza *faille*. Obok wstążek stoją pióra strusie; upinanie ich jest bardzo różnorodne.

Obok fasonów, są bardzo modne toki z futerek, zwłaszcza w połączeniu z przybraniem z aksamitu. *W.*



Suknia jesienna z jedwabiu w prążki i tafty.



Suknia spacerowa, przybrana tiuniką z *changeant* jedwabiu w kwiaty.



Suknia letnia z czarnego aksamitu, przybrana białą koronką i gazą

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

9

Miss Ewangelina niedbale zaczęła przeglądać papiery, gdy księżniczka Kita, która zmęczona malowaniem, śledziła bezmyślnie jej ruchy — zawołała z ożywieniem.

— Patrz, miss Ewo! patrz na tę dziwną kopertę, tam pod „Timesem“. Ile na niej stampilii. Pozwól, niech przeczytam, skąd ten list został wysłany!

Miss Ewangelina, zatopiona w przeglądaniu jakiejś illustracyi, nie zwracała uwagi na słowa swojej uczenicy. Księżniczka Kita, widząc jej roztargnienie, ruchem rozkapryszonego dziecka, któremu wszystko wolno, pochwyciła pożądany list, oglądając go na wszystkie strony.

— Był wysłany z Kairu — zadecydowała po chwili obserwacyi.

— Z Kairu? — powtórzyła obecnie miss Ewangelina.

— Tak, do Cateley-House, stamtąd do Kiwani, a z Kiwani przez Kalkutę, Brindisi, przyszedł do Europy. Miss Ewo, rezerwuję sobie kopertę ze znaczkami pocztowymi, dobrze?

Ale z miss Ewangeliną działy się dziwne rzeczy. W chwili, gdy dobiegły ją słowa Cateley-House, twarz jej zbladła, a ręce nerwowo trząść się poczęły.

— Miss Ewo! Co ci jest? co ci się stało? miss Ewo? — wołała księżniczka zaniepokojona jej widocznem wzruszeniem.

— Czy nie widzisz, czy nie zgadujesz, gołąbko moja — odpowiedziała bezładnie stara Angielka, mnąc kopertę w rękach i nie mogąc dojść do ładu z otworzeniem jej. — Mój brat!... John Harry! Mój brat! Mój straszny, kochany brat! Przez lat dziesięć nie widziałam jego pisma! A przecież poznaję je! Przebacz księżniczko, jestem zmuszona oddalić się na chwilę.

Miss Ewangelina nie mogła się od łez powstrzymać, gdy znalazła się sama w swoim pokoju. Tutaj mogła otworzyć ten list nieoczekiwany, w tem otoczeniu, które we wszystkiem przypomniało jej ukochaną Anglię, lata dzieciństwa, Cateley i brata! I lepiej się stało, że list ten odczytała w samotności, bo ktokolwiek by w tej chwili spojrzał na jej twarz, nie mógłby w żaden sposób odnaleźć na niej choćby najdrobniejszego śladu tej flegmy brytańskiej, którą się tak chwalą córy Albionu. Ale bo też ten list przynosił miss Ewangelinie dziwne wiadomości!

— „Moja siostro — pisał John Harry. — Choć niewiem dokładnie w jakich stronach świata przebywasz, Ameryce, Azyi, Rosyi lub Kamczatce, czuję się w obowiązku donieść, że stałem się jedynym sukcesorem stryja naszego, księcia de Cateley. Wieść doszła mnie w Kairze, po powrocie z wyprawy do Oufangou. Udaję się natychmiast do Anglii, aby podjąć dziedzictwo i tobie natychmiast wysłać tysiąc funtów szterlingów. Oprócz tego, rok rocznie, otrzymywać będziesz przez mojego plenipotenta rentę dwóch tysięcy funtów. Nie będziesz więc już nadal zmuszoną poświęcać wolności swojej i niezależności. Nie zmuszam cię jednak do przybycia do Cateley-House. Daję ci część z mego dziedzictwa, która pozwoli ci prowadzić życie, godne naszego nazwiska. Wiem, żebyś to samo uczyniła dla mnie. Przyjmij serdeczny uścisk dłoni. J. Harry Goldenspeech, książę na Cateley.

Po przeczytaniu listu brata jakaś dzika radość owładnęła miss Ewangeliną. Płakała, śmiała się i tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. To znowu wierzyć nie chciała, aby te wiadomości mogły być prawdziwe. A może ten nieznośny, uparty i straszny brat pozwala sobie na żart względem niej? Pochwyciła stos układanych dzienników, w których dotąd z rozmysłem czytając, omijała artykuły o wiadomościach bieżących i zagranicznych i nerwowo przebiegać je zaczęła. I dowiedziała się w ten sposób o śmierci starego księcia Cateley, który sukcesorem olbrzymich swoich majątków uczynił John-Harryego Goldenspeech, znanego podróżnika i uczonego — dalej, że ów John-Harry powracał jako zwycięzca z wielkiej wyprawy, podjętej do Afryki i choć Anglia, dla której walczył, dotąd żadnej oficyalnej mu nie użyczyła pomocy, zdołał na czele niewielkiej armii, złożonej z intelligentniejszych krajowców tamtejszych, pokonać i zmusić do poddania sułtana d'Oufangou, odebrać mu kraj znaczny i bogaty i tym sposobem przysporzyć Anglii nową i potężną kolonię na ziemi afrykańskiej.

Zasługi te nie pozostały bez nagrody. Gdy John-Harry wylądował w Anglii, oczekiwał go już dziękczynny telegram od króla z prośbą, aby go natychmiast odwiedził w zamku Sanddingham. Łaska to była znaczna. Opis przyjęcia zajmował kilka szpalt dziennika. Pomiędzy innemi godnościami, król nadał księciu Cateley-Goldenspeech tytuł barona d'Oufangou, z nadaniem mu dożywotniej renty w kwocie stu tysięcy franków. Jednakże John-Harry zapragnął kilkumiesięcznego spoczynku i chciał udać się do świeżo odziedziczonych dóbr swoich po stryju, lecz król sprzeciwił się temu żądaniu.

— Nie, panie baronie d'Oufangou — rzekł król. — Jesteś mi w tej chwili bardzo potrzebny. Chcę, abyś natychmiast udał się do Paryża. W Afryce, pomiędzy Anglią i Francyą istnieją różne drobne nieporozumienia, które należy zwalczyć. Liczę więc bardzo na pana w tym kierunku. Udasz się więc do Francyi w roli ugodowca, a sądzę, że człowieka tej miary i przyjaciela króla spotka tam godne przyjęcie.

Baron d'Oufangou.

Baron d'Oufangou znajdował się we wspaniałym swoim apartamencie, urządzonym w sposób wybitnie egzotyczny. Pokój, w którym obecnie przebywał, założony był cały dywanami i matami, a na środku umieszczony był namiot, pod którym tyle nocy przepędził w puszczach afrykańskich. Na ścianach wisiały rozwieszone różnorodne bronie i trofea myśliwskie. John-Harry zajęty był przeglądaniem stalowej skrzynki, którą mu przed chwilą przyniosło z wielkiemi ostrożnościami dwóch służących, Sudańczyków, wiedząc, że przedmiot ten, z którym się nigdy pan ich nie rozstawał, zawierać musi rzecz jakąś cenną i drogą. Twarz John-Harry'ego rozjaśniła się na ten widok. Maleńkim złotym kluczykiem otworzył skrzynkę i wyjął z niej portret w ramach złotych, wysadzany drogimi kamieniami, małe arcydzieło sztuki indyjskiej.

Z wyrazem głębokiej miłości i uwielbienia spojrzenie barona d'Oufangou spoczęło na twarzy młodej kobiety o cudnym owalu i wielkich, czarnych aksamitnych oczach. Długo wpatrywał się w twarz tę, tak mu drogą, poczem z westchnieniem portret napowrót zamknął do stalowej skrzynki.

W tej samej chwili służący wszedł z oznajmieniem, że jakaś dama pragnie z nim się widzieć.

— Powiedziałem, że massa jest w domu, bo pomyślałem, że massa z ochotą przyjmie miss Ewangelinę, swoją siostrę.

John-Harry nie zdradził żadnego wzruszenia na tę nieoczekiwaną wiadomość. Wstał wolno i ruchem ręki rozkazał Sudańczykowi wprowadzić gościa.

Weszła miss Ewangelina i bez słowa podała rękę bratu.

— Otóż cię widzę, John-Harry! — wymówiła twardym, męzkim głosem.

— Otóż cię widzę, Ewangelino — powtórzył spokojnie baron d'Oufangou.

— Jesteś w Paryżu?

— Tak, w Paryżu.

— Usiądź, Ewangelino.

I miss Ewangelina usiadła na jedynem wyplatanem krześle, znajdującem się w pokoju.

Zdawałoby się, że ludzie ci rozeszli się przed godziną — a przecież już lat dziesięć upłynęło, jak miss Ewangelina widziała się ze swoim nieznośnym bratem.

— Ewangelino — przerwał dość długie milczenie John-Harry — może napijesz się filiżankę herbaty?

— Owszem — odpowiedziała miss Ewangelina — napiję się z ochotą filiżankę herbaty.

Jedno spojrzenie skierowane ku Sudańczykowi wystarczało, aby tenże rzucił się ku kuchni, skąd powrócił po pięciu minutach, niosąc tacę z przyborami do herbaty.

Oko miss Ewangeliny spoczęło z uwielbieniem na imbryku z metalu angielskiego, dość pokaźnej wielkości, wypukłym i błyszczącym, jak srebro. Zrozumiała w jednej chwili całą doniosłość znaczenia tego imbryka.

— Jestem przekonaną, John-Harry — rzekła — że ten imbryk towarzyszył ci wszędzie.

— Tak, wszędzie, kochana Ewangelino.

— To tak, jak gdyby ci nasza stara Anglia towarzyszyła.

— Zupełnie tak samo.

— Pozwolisz, że się zajmę nalaniem herbaty, John-Harry? — zapytała miss Ewangelina, trochę drżącym głosem.

I ręka Johna-Harry'ego zadrżała trochę, gdy odbierał, podawaną mu filiżankę.

Bo nagle, wobec tego imbryka i tej filiżanki herbaty, nalanej bratu ręką siostry, odżyły wszystkie wspomnienia młodości...

— Więc cię naprawdę mam przed sobą, moja nieznośna siostro? — rzekł uśmiechając się uprzejmie John-Harry.

— A ja ciebie, mój okropny bracie.

I ponad pękatym imbrykiem, przyjacielsko podali sobie dłonie.

— Mówiłam zawsze, że masz dobre serce, Harry, chociaż byłeś zawsze niemożliwym bębnem. Ale nie mówię dlatego, że mi zapisałeś rentę. Możesz ją wziąć, bo mi jest niepotrzebna. Ale postąpiłeś szlachetnie, John-Harry.

— Jestem obecnie lordem Cateley, baronem d'Oufangou — odparł, chmurząc się brat. — I dziś siostra moja nie potrzebuje zarabiać na utrzymanie. Wolno ci, Ewangelino, zrobić z temi pieniędzmi, co chcesz, możesz je oknem wyrzucić lub oddać na cele Towarzystwa Trzeźwości. Mój pełnomocnik jednak otrzymał formalny rozkaz i kwotę przeznaczoną otrzymywać będziesz regularnie. I więcej o tem nie mówmy, Ewangelino.

Po godzinnej rozmowie, z której miss Ewangelina dowiedziała się wiele ciekawych szczegółów, tyczących się wyprawy brata — spojrzała z niepokojem na zegarek i rzekła:

— John-Harry, czy masz tu telefon? Chciałabym uspokoić księżniczkę, bo prawdopodobnie spóźnię się trochę.

— Ależ i owszem, Ewangelino — odparł John-Harry. — Jaki mam numer wywołać?

— 928 — Neuilly.

Po chwili, miss Ewangelina stała przy telefonie ze słuchawką w ręku.

— To ja, Ewangelina Goldenspeech. Proszę poprosić księżniczkę, moją uczenicę — mówiła. — Czy to ty, kochana gołąbko? Spóźnię się, nieprawdaż? Ale nie mogłam się oprzeć chęci odwiedzenia brata. Jestem właśnie u niego. Co? księżniczko? Chcesz z nim mówić?

Uszczęśliwiona podała słuchawkę Johnowi, wyjaśniając równocześnie:

— To moja uczenica, księżniczka Kita, córka księcia Kiwani. Pragnie cię poznać.

Ale na te słowa baron d'Oufangou zadrżał silnie i śmiertelna bladość przemknęła po jego twarzy.

— Co ci jest, Harry? — zawołała wystraszona Ewangelina — czy to napad febry może?

Ale baron d'Oufangou już zdołał się opanować, uśmiechnął się uspakajająco do siostry, podjął porzuconą słuchawkę i stanął przed aparatem.

— Siostra mi mówi — rzekł głosem, który drżał jeszcze trochę — że Wasza Wysokość wyraziła chęć poznania mnie?

— O, książę Cateley! — odpowiedział dźwięczny głos księżniczki. — Chcę pana poznać i to natychmiast, by prosić, aby mi pan nie zabierał siostry! Gdyby mnie opuściła, czułabym się tak nieszczęśliwa! Wiem, że pan pragnie stworzyć jej teraz życie niezależne, ale sądzę, że miłości własnej pana nie dotknę, gdy powiem, że nie nauczycielkę, ale przyjaciółkę i powiernicę mam w niej! Będzie damą pałacową, damą honorową, oddam jej tytuły jakie się jej należą — ale mnie jej pan nie zabierze, baronie d'Oufangou, prawda?

— Księżniczko — wymówił z trudnością John-Harry — musisz być bardzo dobrą, piękną i miłą. Wystarczyło tę parę słów, wymówionych tym słodkim głosem, aby mnie o tem upewnić i mam wielką ochotę odrazu zgodzić się na twoją prośbę.

— Oh! baronie d'Oufangou, jaki pan dobry! Ja tak kocham miss Ewangelinę!

— Ja zaś odczuwam już teraz dla Waszej Wysokości wdzięczność i cześć najwyższą.

— Oh! cześć — zawołała księżniczka Kita. — Dla takiej maleńkiej osóbki, niewyższej od lalki! I zdaje się, że tej okoliczności zawdzięczam, że nikt nie śmie oprzeć się mojej prośbie.

— A więc i ja staję w szeregach tych wiernych, posłusznych i proszę o pozwolenie ucałowania ręki Waszej Wysokości.

— Oh! jaki pan grzeczny! Powiem ojcu, żeby pana natychmiast zaprosił do pałacu.

Na wspomnienie o księciu Kiwani dreszcz nerwowy wstrząsnął raz jeszcze baronem Oufangou.

— Wiem, że książę jest najlepszym przyjacielem i sojusznikiem Anglii — odparł poważnie. — Będę się czuł zaszczycony Jego zaproszeniem.

Gdy w parę minut później John-Harry usiadł na fotelu naprzeciw siostry, twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia.

— Jakże ci wdzięczna jestem, Harry, — rzekła miss Ewangelina, — że pozwalasz mi pozostać w pałacu księcia Kiwani. Nie chciałabym bowiem za żadne skarby, aby po mojem usunięciu się ta nędznica zniszczyła wpływ, pod którym lat tyle wzrastało to ukochane dziecko!

— Jako kobieta, Ewangelino?

— Ach! bo ty doprawdy nie wiesz, Harry. Książę Kiwani, który był zawsze dzielnym człowiekiem naszych przekonań, dał się usidlić Francuzce, ostatniej nędznicy i ożenił się z nią!

— Książę Kiwani — zawołał John-Harry wzruszony — ożenił się z cudzoziemką?

— To jego druga żona! Pierwsza była cudem piękności, dobroci i intelligencyi! W drodze z Indyi do Europy, dokąd podążała na spotkanie małżonka, umęczona podróżą, rozchorowała się i wydała na świat przedwcześnie księżniczkę Kitę; sama zaś to życiem przypłaciła. Zrozumiesz teraz, Harry, dlaczego wszyscy w pałacu otaczają małą księżniczkę tak troskliwą opieką i staraniem i dlaczego ja tak gorąco pragnę jak najdłużej ustrzedz ją od wpływu tej przeklętej kobiety! Księżniczka kocha mnie do tego stopnia, że dziś jestem spokojna o to, ale coby się stać mogło, gdyby mnie przy niej zabrakło?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. M. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko polskiego bohatera.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Zabawka dziecinna. 3. Właściciel gospody. 4. Ptak leśny. 5. Ptak śpiewający. 6. Imię męskie. 7. Imię żeńskie. 8. Inaczej nieprzyjaciel. 9. Góra w Małej Azyi obok Troi. 10. Inicyały bohatera. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Na cmentarzu sieje Wojtek kompot. Ręce, gamy, lok.

Przekładanka.

Ułożył M. W. Wadowice.

Podane litery w ten sposób uporządkować, by powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i pierwszą literę imienia polskiego powieściopisarza, końcowe tytuł jego dzieła.

e	k	m	o	o	p	r	s	t
a	d	e	e	k	l	o	r	t
a	e	i	n	l	r	t	t	u
a	a	i	l	m	m	n	o	s
a	a	e	i	n	p	r	t	w
a	e	e	j	l	m	r	u	z
a	e	e	e	g	i	l	n	w
a	d	e	i	m	o	r	r	t
a	k	n	n	o	s	t	t	y

Logogryf.

Ułożył W. M. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by utworzyły wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiej powieściopisarki, a ostatni tytuł jej dzieła.

```
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Rzemieślnik. 2. Księga obrzędów kościelnych. 3. Postać ze znanej tragedyi. 4. Szczyt tatrzański. 5. Inaczej zdania. 6. Imię męskie angielskie. 7. Znany barwik. 8. Pasterz węgierski. 9. Metal. 10. Słupy podtrzymujące sklepienie.

Okienko.

Ułożył M. W. Wadowice.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

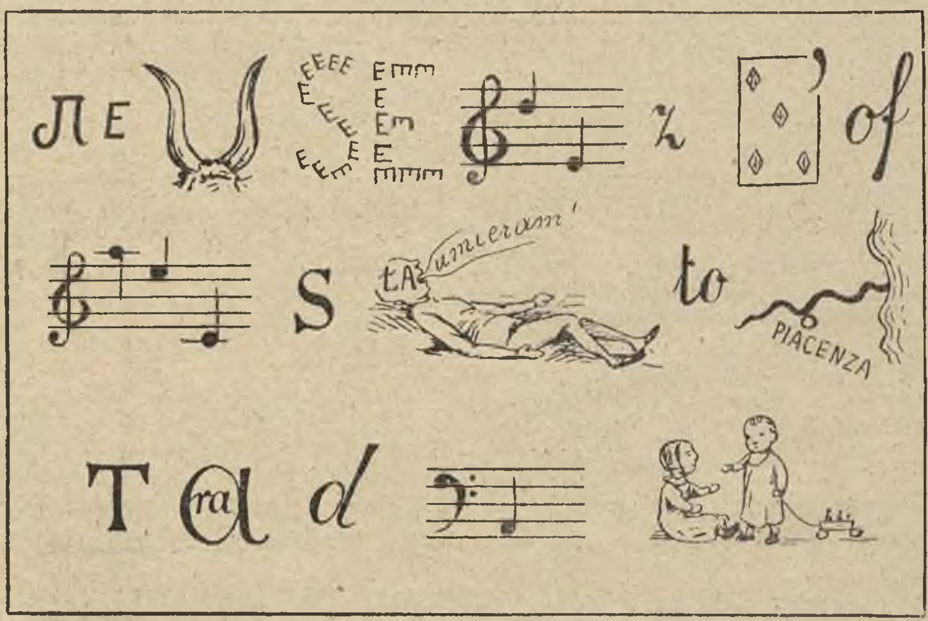
```
o o o o o
o   o   o
o ó ó p p
p   p   r
r t t t t
```

Łamigłówka.

Ułożył W. Bogusz, Zabierzów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich znane przysłowie: Każdy, moda, Liszki, szkatułka, swój, Olimp, gonty, rynek, chwała, liga.

REBUS.



Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Trzoda, krowa, paw, gra, pa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ludwiki Godlewskiej: **Dobrane pary.*** Powieść współczesna.

Ustalona sława

jest, że Gramofon z marką **„aniołek piszący“** jest synonimem aparatu, odtwarzającego muzykę i śpiew czysto i naturalnie, nie powinien się więc nikt dawać zwodzić szumnym reklamom, któremi konkurencya zachwala swoje towary, lecz zaglądnąć do **jedynego składu oryginalnych Gramofonów aniołkowych**



we Lwowie ul. Sykstuska 2 Telefon 1560.

Józefa Wekslera

w Krakowie ul. Floryańska 25. Telefon 1241.

by się przekonać, że wyroby gramofonów aniołkowych są szczytem techniki na punkcie udoskonalenia i **żaden inny wyrób nie wytrzymuje porównania z temiż.**

Największy wybór płyt pierwszorzędnych artystów otrzyma się tylko na płycie aniołkowej.

Demonstracya bez przymusu kupna. — Ulga w spłatach ratalnych.

Gramofon koncertowy z 5 płytami t. j. 10 zdjęć kosztuje **Koron 50·—.**



Wszelkie płyty prócz aniołkowych i sonofon kosztują po **Koron 2·—**

Pierwsza krak. fabryka lalek Kraków Wolska L. 1
wysyła odwrotnie każde zamówienie.

Przejeżdżającej Publiczności polecamy nasze piękne lalki w krakowskich strojach, z włosami do czesania oraz mówiące.



Cena i wykonanie bez konkurencyi.

Najlepsze czeskie źródło!



TANIE PIERZE

1 kg. szarego, dobrego, dartego 2 Kr., lepszego 2 Kr. 40 h, najl. **nawpół białego** 2 Kr. 80 h, **białego** 4 Kr., **białego puchowego** 5 Kr. 10 h, 1 kg. najl. **śnieżno białego dartego** 6 Kr. 40 h, 8 Kr., 1 kg. szarego **puchu** 6 Kr., 7 Kr., białego dobrego 10 Kr., najl. **puchu brzusznego** 12 Kr. **Przy odbiorze 5 kg. franko.**

Gotowa pościel

z grubonicianego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), **1 pierzyna** 180 cm. dług. 120 cm. szer. **z 2-ma poduszkami** każda 80 cm. dług. 60 cm. szer. napełnione nowem szarem bardzo trwałem **puchowem pierzem** 16 Kr., **półpuchem** 20 Kr., **puchem** 24 Kr., pojedyncze pierzyny 10 Kr., 12 Kr., 14 Kr., 16 Kr., poduszki 3 Kr., 3 Kr. 50 h, 4 Kr., **pierzyna** 200 cm. dług. 140 cm. szer. 13 Kr., 14 Kr. 70 h, 17 Kr. 80 h, 21 Kr., **poduszki** 90 cm. dług. 70 cm. szer. 4 Kr. 50 h, 5 Kr. 20 h, 5 Kr. 70 h. **Podściółki** z mocnego gradlu w paski 180 cm. dług. 116 cm. szer. 12 Kr. 80 h, 14 Kr. 80 h. Wysyłki za zaliczką od 12 Kr. wysyłane są opłatnie. Zamiana dozwolona, za nienadające się zwrot pieniędzy.

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy)

Bogato illustrowany cennik darmo i opłatnie.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 1359.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania **grobowców** w miejscu i na prowincyi.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Kraków, Sukiennice 11 — Zakopane, Krupówki

WIELKI WYBOR KORALI.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. MOZAIKI Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór torebek damskich.	Wielki wybór ZABAWEK. Lalki. Krakowianki. Laski i toporki. Kartki korespondencyjne ilustrowane.

Siwe włosy, wypadanie włosów



Urzędownie chronione.

usuwa się środk. odmładzającym przez władzę uznanym jako **zupełnie wolny od trucizny** i zupełnie **nieszkodzący zdrowiu.**

„Zawsze młody“

żadna farba, tylko przeźroczysty płyn, który włosom **pierwotny kolor przywraca,** cebulki wzmacnia i **zapobiega wypadaniu włosów.**

ORYGINALNA FLASZKA K 4·—

Do tego potrzebną szczotkę 80 h. **Próbna flaszka K 1·—** wysyła za pobraniem pocztowem lub nadesłaniem K 4·— ewentualnie K 1·10 w markach pocztowych.

Skład główny apteka „Zum römischen Kaiser“

HUGO BAYER, Wiedeń I., Wollzeile 13, Abt. 7.

Król. bułgarski nadworny dostawca.

Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Obcych Języków w szkole i w domu, bezpłatnie,** bo **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i kluczem p. t.:

SAMOUCZEK

Polsko-Niemiecki kurs I-szy K 2·40, kurs II-gi K 4·80
Polsko-Francuski kurs I-szy K 3·60, kurs II-gi K 9·60
Polsko-Angielski kurs I szy K 2·30, kurs II-gi K 3·60
Polsko-Rosyjski kurs I-szy K [illegible], kurs II-gi K 5·40.

Bezpłatne zeszyty wysyła księgarnia po nadesł. 15 h na porto

Jak ta szykowna paryżanka



Prawnie chron.

osiągną panie i dziewczęta rozwijające się zbyt powoli, w przeciągu 3 tygodni **pełny, piękny biust** przez użycie francuskiego środka „Embelie“, który jest jedyny w swoim rodzaju. Przez lekarzy polecany, zagwarantowany jako nieszkodliwy, nie zawiera żadnych lekarstw, tylko zdrowy ekstrakt roślinny. Działanie jest tak szybkie, że nawet u starszych kobiet w krótkim czasie zmiana jest widoczną. Jednorazowe sprowadzenie wywiera trwały skutek, aż do późnej starości. Premiowane: Honorowy dyplom Londyn, złoty medal Paryż.

Cena za zaliczką K 6·—. Porto osobno. W razie nieskutkow. zwrot pieniędzy. Poste restante i zagraniczne wysyłki za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Dyskretne wysyłki przez: Mazurkiewicz, Maison de Beauté. Oddział 8, Wiedeń VIII/65, fach poczt. 24. Podziękowania i listy z uznaniami dołączone. — Uprasza się o dokładne pisanie adresów.

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume do Wenecyi i Ancony
Przez Fiume do Dalmacyi

Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska po morzu Adryatyckiem, zawsze wzdłuż wybrzeży, przez morskie cieśniny i pomiędzy wyspami na morze Spokojne.

Informacye w agenturach Międzynarodowego Towarzystwa wagonów sypialnych

Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume“ dla okrętów parowych.

Tylko K 4·85 zegarek, łańcuszek zapalniczka z 6 krzemieniami. — Wspaniała fantazya, srebrny remontoir męski zegarek



płaski z bogato grawir. pokrywami, z bardzo dobrym werk. anker, dokładnie idący z 3-letnią pisemną gwarancyą, wraz z eleg. złotym double męskim łańcuszk. i modną nikl. kieszonkową zapalniczką z 6 rezerw. krzemieniami, wystarczającemi na cały rok. Wszystko razem za pobraniem poczt. tylko od K 4·85. Przy zamówieniu od 6 garniturów dołącza się jeden garnitur gratis.

Dom z zegark. Schaechter Leopold
Wiedeń XVI/2 167 Lerchenfeldergürtel 5.

Zamiana lub zwrot pieniędzy. Zamówienia na Rosyę za poprzedniem nadesłaniem należytości wraz 80 hal. na porto.

Zupełnie darmo 5000 aparatów fotograficznych



Ażeby dać każdemu sposobność zajmowania się fotografowaniem, wysyłamy każdemu, kto poda swój adres, nasz nowej konstrukcyi aparat fotograficzny „Miniatur“ wiek. obrazu 4×4 cm. całkiem darmo i policzymy tylko za kompletne przybory do aparatu z dokładnem pouczeniem dla początkujących za zaliczką **Kor. 1·80.** — Wielki aparat „Elioto“ z drzewa hebanowego z automat. objektywem, format obrazu 4 1/2×6 cm. razem z matówkami, podwójną kasetą z kompl. przyborami do aparatu i pouczeniem dla początkujących za zaliczką **Kor. 3·90.** — Zamówienia na Rosyę za poprzedniem nadesłaniem należytości wraz 80 hal. na porto.

„Photo Industrie Famos“ Wiedeń XVI/2.
Fach pocztowy 352.

Twarzowy krem jako puder



Najsenzacyjniejszy wynalazek kosmetyki. **Dr. A. Rixa** perłowy **puder-krem** pozostaje przez 24 godzin, nikt nie zauważy, że użyto pudru. **Pot a nawet mycie nie szkodzi, powtórne nacieranie zbyteczne.** Nie robi skóry porowatą, lecz elastyczną i miękką. Perłowy puder-krem, używany jest do rąk i twarzy. Pod gwaranc. nieszkodl. Cena za dozę K 3 biały, różowy i kremowy.

Laborat. kosm. Dr. A. Rixa
Wiedeń IX., Berggasse 17 R.

ZAKŁAD

plisowania i gufrowania i obciąganie guzików.

Kraków, Grodzka 60
Parter B.

Nowo otwarta

JEDYNA W KRAKOWIE

Pierwszorzędna ręczna

„Pralnia krystaliczna“

oraz Zakład chemicznego czyszczenia i artystycznego farbowania

KRAKÓW-ZWIERZYNIEC

NR. TELEFONU 2035

Główne filie w Krakowie:

Rynek Główny 9 (Pasaż Bielaka), ulica Zwierzyniecka 18, ulica Krowoderska L. 58 róg Czarneckiego.

Wykonuje wszelkie oddane roboty jak najstaranniej i na oznaczony czas. Po odbiór i z dostawą bielizny do domu posyła pralnia bezpłatnie własnych ekspresów, na żądanie telefoniczne lub pisemne.

Piękną różową cerę

uzyska każdy, kto używa masażystki „Amo“ aparat usuwający brzydką cerę, zmarszczki, wągry, pryszcze, tłustość cery. Cena K 3·60 — za zaliczką 70 h drożej.

Grzebień farbujący

włosy we wszystkich kolorach nieszkodliwy. Znakomity środek na siwiznę i t. p. Cały przyrząd wraz ze sposobem użycia K 4·50.

Krem „ISOLI“ na piegi

wynalazek francuski, usuwający raz na zawsze piegi i t. p. nieczystości skóry. Doza K 2·—

Zbyteczne włosy

usuwa raz na zawsze pod gwarancyą z rąk, twarzy, nóg i t. d. wraz z cebulkami, najnowsza metoda „Antipilox“. Cena za dozę K 1·50 i 2·—. Wysyła:

Dom handlowy. Oddział D.
Kraków, ul. Długa 21.

Aparaty fotograficzne

z drzewa i metalu dobrze konstruowane, **nie z tektury** jakie tanio polecają niefach. ludzie. Cena z płytami, papierem, chemikaliami i kursem nauki. Porto osobno



Aparat ręczny od Kor. 1·60
„ stojący „ „ 6·20
„ z klapą „ „ 9·70
i wyżej aż do „ 300·—

w najl. wykonaniu, premiowane austr. medalami państwow. Sprzedaż aparatów i przedmiotów najlepsz. marki po najtańszych cenach. Cenniki darmo.

Alfr. Birnbaum fabryka aparatów, **Hirschberg 104** Czechy

Od wielu lat znana

Restauracya hotelu pod „Różą“

w Krakowie, róg ul. Floryańskiej i św. Tomasza.

Poleca: smaczne i zdrowe

Obiady z 4-ech dań po K 2·40

(w abonencie opust) i à la carte.

Przyjmuje zamówienia na wesela i uczty. **Gabinety** dla mniejszych Towarzystw.

PIERWSZORZĘDNY

HOTEL SASKI

w Krakowie, przy ul. Sławkowskiej

ZOSTAŁ OTWARTY

W WIELKIEJ SALI JADALNEJ

KONCERT

artystycznej muzyki.

NOWY ZARZĄD.

„HOTEL BELVEDERE“

Tel. Nr. 537 Kraków, ul. Basztowa 27 (róg ul. Pawiej)

tuż obok dworca kolejowego i Teatru miejskiego

Wszelki komfort. — Wspaniały widok na miejskie plantacye. — Przystanek kolei elektrycznej.

CENY NIZKIE.

KAWIARNIA i RESTAURACYA.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.